Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1 zł — 8 stron | Warszawa, 14 września 1952 r. | Nr 37 (129) Rok III

Apel żyjących

Niedawno gdy wyciągnąłem z półki jakąś książkę i stwierdziwszy, że obłożona jest w zniszczony papier, zerwałem prowizoryczną okładkę, wypadła zza niej mała kartka. Na stroniczce kolumienka cyfr — to szyfrowane telefony kolegów z ostatniego roku okupacji. Gdy patrzyłem na ten papierek, usiłując poza zatartymi szeregami liczb odnaleźć tak bliskie niegdyś twarze, uświadomiłem sobie, że aż trzech spośród czterech ludzi, do których prowadziły linie owych połączeń telefonicznych, nie żyje, że pozostały...

Gdybyśmy w roku 1945 mieli argumenty poparte taką dokumentacją, jaką wypracowaliśmy przez ubiegłe lata, naprawdę zbędne byłyby godziny poświęcane na przekonywanie ludzi, którzy ideologii naszej, choć opartej na fundamencie prawdziwej wiedzy, przeciwstawiali swoje niedowierzanie. Pozostały koleg~ był w tych latach rozgoryczonym „apolitycznym inteligentem".

Ale gwarny MDM jest lepszym agitatorem niż najlepszy mówca, jeżdżące po ulicach, produkowane w naszych fabrykach samochody są szybsze od najobrotniejszego agitatora, ludzie nawet zatroskani kłopotami swego codziennego bytu coraz wyraźniej widzą, że o poziomie cywilizacyjnym kraju nie decyduje ilość eleganckich kortów, w jakie ubierają się jego obywatele. Coraz jaśniejsze staje się dla wszystkich, że tak jak hitleryzmu nie rozgromiły Old Goldy i Camele, tak i o obronie pokoju zadecyduje nie doraźna nasza wygoda, a poziom gospodarczy krajów naszego obozu, że gwarancję ratunku ludzkości przed groźbą atomowych szantażystów stanowi siła Kraju Rad, który do potęgi doszedł przez morze trudności i walk. Że niewiele zobaczy ktoś, kto wschód słońca zechce obserwować przez przewód pokarmowy.

Wczoraj spotkałem żyjącego z grupy ludzi, których przypomniała mi odnaleziona kartka. Gadaliśmy długie godziny, najpierw, włócząc się aż do omdlenia nóg po wieczornych a potem już nocnych ulicach Warszawy, następnie siedząc w zadymionym lokalu i przekrzykując gwar sąsiednich stolików. I naprawdę nie tak wiele czasu zajęły nam w rozmowie zdania zaczynające się od: „a pamiętasz". Mówiliśmy o dniu dzisiejszym. Młody inżynier zamazał swoimi rysunkami wszystkie serwetki, wypalił wszystkie papierosy, wypił kilka butelek piwa i wody mineralnej — mówił o robocie. Kiedy zapytałem go o obecną orientację polityczną, żachnął się: jestem patriotą, do licha. Może nie pamiętasz? — Pamiętam — odpowiedziałem wstydliwie się uśmiechając. — No więc — byłem kiedyś patriotą głupim, oszukanym, dziś jestem patriotą mądrym.

Wróciłem do domu ożywiony i nie mogąc zasnąć wziąłem się do gazety. W takich okolicznościach przeczytałem dziś program wyborczy Frontu Narodowego. Przez dłuższą chwilę przypominałem sobie „skąd ja to znam?", zanim nię uświadomiłem sobie, że o wielu z tych spraw, składających się przecież na platformę naszego życia, mówiliśmy wieczorem. Myśląc o tym, że spotykam się oto z wielkim apelem wszystkich żywych patriotów, apelem, na którym naród odliczy swoje wielomilionowe wspaniałe „jestem" — siadłem do pisania tego felietonu. Naprawdę zbyt już osobistego.

Roman Bratny

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Nauczyciel — towarzysz literatury

W przeddzień Narady Przodujących Nauczycieli

Chciałoby się na urlopie napisać choćby tylko kilka serdecznych słów pod adresem naszych rozmówców. Są to wiejscy nauczyciele, żołnierze sławnej armii, która walczy codziennie z wielkim wrogiem postępu — ciemnotą. Rozrzuceni po całym kraju, pracujący w ciężkich nieraz warunkach na „zapadłych" wsiach, z dala od centrów życia kulturalnego, z dala niekiedy nawet od stacji kolejowych — w miarę jak sił i możliwości starcza, przyspieszają rewolucję kulturalną w tysiącach gromad i gmin.

Zwykliśmy, i słusznie, wiązać rozwój życia kulturalnego naszej wsi z pracą nauczyciela. Ileż to przykładów dałoby się przytoczyć na dowód, że bez jego ofiarności, bezinteresownego oddania, nie oglądalibyśmy wiejskich zespołów świetlicowych na niedawnych eliminacjach, nie podziwialibyśmy dynamiki wzrostu czytelnictwa na wsi.

Ale sumienność, entuzjazm w pracy kulturalnej nie mogą — rzecz prosta — przesłonić niedociągnięć. Jest ich przecież niemało. Oto mamy przed sobą kilkadziesiąt opisów życia kulturalnego rozmaitych wsi, skreślonych rękami nauczycieli. Nie brak żadnego województwa. I doprawdy — wystarczy tylko puścić wodze wyobraźni, a już widzimy barwny korowód amatorskich zespołów dramatycznych, śmiejemy się wraz z chłopskim widzem z dowcipnej sztuczki granej w gromadzkiej świetlicy, tłoczymy się w małym pokoiku jakiejś biblioteki gminnej, czekając niecierpliwie na upragnioną książkę. A jednak, gdy fala wyobraźni odpłynie, przychodzą refleksje, okazuje się, że nie wszystko jest w porządku. Dojrzymy zarosłe pajęczyną świetlice, otwierane rzadko z okazji dorocznych festiwalów, napotkamy chłopskiego czytelnika, zagubionego, zdezorientowanego w olbrzymiej masie książek oddanych do jego dyspozycji, co więcej — usłyszymy dosłownie z ust nauczyciela: „organizować czytelnictwo? — kiedy sam mało co czytam".

No cóż, zasiądziemy chyba pospołu do napływających do redakcji materiałów, odczytamy raz jeszcze, wspólnymi siłami odkryjemy trudności w pracy społeczno-kulturalnej nauczyciela, spróbujemy znaleźć drogi ich przezwyciężenia.

*

Wśród naszych rozmówców przeważa zdecydowanie młodzież, wychowankowie powojennych już liceów pedagogicznych. Fakt to niewątpliwie radosny, oznacza bowiem dopływ świeżych sił na wieś.

Wyobraźmy sobie tylko młodego nauczyciela, rzuconego na daleką gromadę w nieznane mu strony, którego z miejsca wciąga skomplikowany, zagmatwany nieraz wir spraw. Oto idą przez wieś wielkie akcje gospodarcze, toczy się walka o racjonalne zagospodarowanie każdego hektara, o jak najwyższą jego wydajność, każdego lata nabrzmiewają sprawy planowego skupu zboża, trwa kontraktacja, szaleje kułacka plotka skierowana przeciwko komitetowi założycielskiemu, gdzieś w gminie ksiądz poprowadził pogrzeb poprzez środek wiecu politycznego. Można by — rzecz prosta — nagromadzić wiele spraw, które spadają na młodego i niedoświadczonego nauczyciela.

A on? Próbuje w pierwszym rzędzie rozeznać się w gromadzkich konfliktach, usiłuje zająć w nich określone miejsce, wyznaczyć sobie swój nauczycielski zakres działania, swoją rolę w tych wszystkich wielkich przemianach gospodarczych i społecznych dokonywających się na wsi, znaleźć sobie właściwych sojuszników. Jacy to będą sojusznicy?

Trzeba zwrócić uwagę na to, że w codziennym trudzie produkcyjnym, w atmosferze patriotycznej troski o wyżywienie miast — wyrasta nowy aktyw chłopski, mistrzowie wysokiego urodzaju, przodownicy w skupie i kontraktacji, agitatorzy walczący o socjalistyczną wieś, młodzi agronomowie, POM-iści, instruktorzy rolni.

Sojusznikiem jest też — literatura.

*

„Kierunkiem naszych wysiłków wychowawczych musi być jak najwszechstronniejsze udostępnienie młodemu pokoleniu prawdy o prawach rozwoju społecznego, budzenie w nim zainteresowania dzisiejszą walką, pracą, osiągnięciami mas pracujących oraz postępowymi tradycjami i zdobyczami naszej kultury narodowej, jej wkładem w kulturę ogólnoludzką".

Od powyższego cytatu z przemówienia Prezydenta do nauczycieli rozpoczął swą wypowiedź Stanisław Belcarz. Podkreślił przy tym czerwonym ołówkiem słowa wskazujące na konieczność przyswojenia sobie przez masowego odbiorcę kultury postępowych tradycji narodu. Chodziło mu głównie — jak wyjaśnia — o upowszechnienie czytelnictwa postępowej literatury ojczystej i ogólnoludzkiej.

Belcarz, młody licealista, w nieco może uproszczony lecz jakże słuszny sposób, określił swoją rolę na terenie gminy. „Jednym z naszych najważniejszych zadań jest — w powiązaniu, w ścisłej współpracy z takimi elementami rewolucji na wsi jak spółdzielnie produkcyjne, POM-y, GS-y — umacniać socjalistyczną nadbudowę, zwalczać przeżytki starej, wprowadzać do chałup nową, rewolucyjną książkę, niech przy jej pomocy widzą ludzie ku czemu idziemy."

Tymczasem na tym właściwym polu działalności — w bibliotece i w świetlicy, w klubie dyskusyjnym i na łamach gazetki ściennej — pojawiają się zasadnicze trudności. Na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, że można sprowadzić je do braku czytelników na wsi. Jest akurat przeciwnie. Belcarz podaje interesujące cyfry wskazujące na wzrost ruchu czytelniczego. Oto w jego macierzystym województwie krakowskim zgłosiło się ubiegłego roku 1.500 chłopów na doroczny konkurs czytelniczy, w bieżącym już prawie 8.000. Ilość wypożyczeń w gromadzkich i gminnych bibliotekach wzrosła z 7.892 w roku 1949 do 18.851 w bieżącym. Nie są to cyfry imponujące, nawet gdy powiększyć je kilkakrotnie o członków rodziny pożyczającego, którzy z reguły także czytają przyniesioną książkę, nawet gdy dodać nieliczną tutaj a przecież czytającą młodzież szkolną. Ale wskazują na szybki wzrost czytelnictwa.

W żadnej z wypowiedzi nie ma ani wzmianki o tym, że nauczyciel to oracz na niewdzięcznej glebie, osamotniony, niedoceniony w swojej pracy kulturalnej przez zacofanych chłopów. Ba, kolega Stolarczyk Władysław pisze, że nawet wiejski czytelnik coraz rzadziej występuje w pojedynkę. W jego województwie (wrocławskie) przeważa powoli czytelnik zbiorowy nad pojedynczym, chodzącym samopas. Do wspomnianego już konkursu czytelniczego 59 zespołów dobrego czytania zgłosiło 1.140-u czytelników, podczas gdy liczba indywidualnych wyniosła 876-ciu.

Skoro więc czytelnik masowy jest, i natarczywie upomina się o książkę, skoro ilość pozycji powieściowych i ich nakłady większe są niż kiedykolwiek, skoro mamy drugą po Związku Radzieckim co do gęstości sieć bibliotek — jakież mogą napotykać trudności w pracy nasi nauczyciele?

Po prawdzie to sami je niezbyt wyraźnie widzą. Oto co pisze jeden z nauczycieli — Stankiewicz Jan: „Jakby zebrać wszystkie książki z naszej gminy, doliczyłbyś się najmniej 10.000 samych powieści, opowiadań i nowel. Wszystkie są wartościowe; szkodliwą szmirę dawno już usunęliśmy. Ale nie radzimy sobie jak należy, gdyż i my, i nasi czytelnicy błądzimy w labiryncie tytułów. Dajesz dobrą książkę, a chłop ci na drugi dzień odnosi i powiada, że mu innej trzeba, tylko sam nie wie bliżej — jakiej. Albo bywa i tak, że każdy z nas inaczej objaśnia pisarza. Co gromada to np. Sienkiewicz wygląda inaczej. A przecież prawda o nim może być tylko jedna"...

Stankiewicz zarysował istotne niebezpieczeństwo zagrażające nauczycielowi, który pragnie umacniać poprzez czytelnictwo socjalistyczną nadbudowę na wsi. Zarysował, ale nie rozwiązał. Spróbujmy więc wspólnymi siłami znaleźć drogi wyjścia.

*

W wypowiedzi Stankiewicza zasygnalizowane zostały dwa niebezpieczeństwa — niedostateczna wiedza nauczyciela o książkach, o literaturze, którą pragnie upowszechnić, a po drugie — trudności w dotarciu z książką do chłopskiego czytelnika.

Przyczyny pierwszego niebezpieczeństwa dają się stosunkowo łatwo wykryć. Znaczna część młodych nauczycieli kończyła licea pedagogiczne wprawdzie już w Polsce Ludowej, ale w latach 1946—48, w latach nacisku ideologicznego tendencji prawicowo-nacjonalistycznych w szkolnictwie — szczegół bardzo istotny.

„Cóż wyniosłem z Liceum? — pisze Belcarz. — Brakło mi marksistowskiej naukowości; wyobrażenia o pisarzach i ich dziełach sprzeczne i mętne — Żeromski to filantrop, a Ślimak to wzór polskiego chłopa".

Belcarzowi przytrafił się znamienny przypadek: ZMP-owcy z wiejskiego, pozaszkolnego koła, w wieku 15—17 lat, zapaleni czytelnicy książek, postanowili sobie odpowiedzieć na pytania — co to jest ojczyzna i jaki powinien mieć do niej stosunek członek młodzieżowej organizacji. Przeczytali Trylogię — zachwycili się patriotyzmem Wiśniowieckiego. Przeczytali „Ojczyznę" — porwał ich Krzysiak. Wreszcie urzekli ich prości radzieccy ludzie, broniący szosy Wołokołamskiej, kiedy odcięci od głównych sił rozprawiali o swojej wielkiej ojczyźnie. Który patriotyzm powinien obowiązywać? — Przyszli z tym do Belcarza, a ten nie umiał dać odpowiedzi.

Mamy już dawno za sobą etap pracy kulturalnej na wsi, w którym chodziło o to, aby biedota i średniorolni schwycili w swe ręce książkę — w ogóle dużo czytali. Dziś czytają już dla określonego celu, chcą jak owi ZMP-owcy uchwycić istotę ludowego patriotyzmu. O ile nasi nauczyciele z powodzeniem dali sobie radę w etapie pierwszym, dziś mści się na nich brak odpowiedniego przygotowania. Zmieniły się nasze szkoły, w coraz większym stopniu otrzymuje młodzież uporządkowaną, marksistowską wiedzę o literaturze. Ale przecież nie możemy odesłać z powrotem dziesiątków tysięcy nauczycieli do szkół. Z drugiej jednak strony nie można przedłużać stanu rzeczy, w którym przedstawiciele Koła ZMP spod Nysy donoszą redakcji tyg. „Wieś", że ich pozytywny bohater chłopski to Ślimak, a równocześnie zapytują, co mają zrobić, żeby pomóc Partii w walce o spółdzielnię produkcyjną, „bo nam coś nie idzie ta pomoc". No jasne, że trudno ze Ślimakiem zawędrować do spółdzielni.

Nauczyciel jest najbardziej związanym z masami — że użyjemy tego sformułowania — krytykiem literackim. Oddziaływa na czytelnika daleko skuteczniej niż oficjalny warszawski krytyk. Aby mógł przekazywać rzetelną wiedzę o książce, ożywić kluby dyskusyjne, a przede wszystkim ukazać niedoświadczonemu czytelnikowi społeczną i praktyczną funkcję dzieła literackiego, musi mieć po temu odpowiednie warunki. Pierwszy z nich to zapewnienie mu dostępu do najnowszych opracowań z dziedziny krytyki literackiej.

Komorowski Alojzy z Kruczyna (pow. Jarocin) przez wiele miesięcy oszczędzał ze swych szczupłych zarobków, aby kupić dwa tomy „Poety-wieszcza", monografię o Żeromskim, prace krytyczne Matuszewskiego i Kierczyńskiej. Nie mógł ich niestety znaleźć w żadnej okolicznej bibliotece.

Ale to z jego wsi chłopka napisała w pracy na konkurs czytelniczy o „Ojczyźnie": „A jak ten Krzysiak z „Ojczyzny" wziął raz karpia, żeby sobie urozmaicić jadło, to rządca pobił go. Dzisiaj jakże inaczej jest, ludzie na wsi, wolni od wyzysku panów i dziedziców, żyją coraz dostatniej".

W świadomości gospodyni wiejskiej z Kruczyna skonkretyzowały się, pod wpływem książki Wasilewskiej, zmiany w losie dawnego, wyzyskiwanego robotnika folwarcznego, dzisiejszego współgospodarza PGR, człowieka już wolnego od „panów i dziedziców". Jest to proces polegający na kształtowaniu się z jednej strony poczucia więzi z tymi, których ciemiężono, z drugiej — dumy ze zwycięstwa nad ciemiężycielami. Komorowski osiągnął pełny rezultat wychowawczy, udało mu się bowiem

Dokończenie na str. 3-ej



Foto: Władysław Sławny

ARNOLD SŁUCKI

KLĄTWY — WIOSKA MOJA

W szkole Polski mnie uczono —
po lewej — „A", po prawej — „B".
W „B" — tam głodne moje Klątwy
tłukły rozczochranym łbem.

Chaty stały pośród bagnisk,
ni tu mostu, ni tu grobli,
czapla stała śród moczaru
sama, zgięta — jak hieroglif.

I na próżno tu wiatraki
kamień na przednówku mełły.
Głody tu do samej ziemi
wyrobnicze karki gięły...

Zapałeczki siedem części —
sztuka się udała biedzie,
ługiem się dzielono z balii,
solą oskrobaną z śledzi.

Posłów tutaj wybierali,
by za Klątwian się starali,
nahajami, pogorzelą
tu posłowie powracali:

Pompę w Klątwach zbudowano
za podatki, grosze kmiece,
żeby z niej uderzył strumień
w chłopskie nieposłuszne wiece.

Czego woda nie gasiła,
krwią gasili tu panowie;
śmieli się ludowi w twarz
monoklami starostowie.

W szkole Polski mnie uczono,
po lewej — „A", po prawej — „B" —
aż się Klątwy obudziły,
trzęsąc swym słomianym łbem —

gdy wróciłem tu z daleka
z karabinem, w marszu pieszym —
ziemia, lasy, sady pańskie
w ręce mego ludu przeszły...

Oto jesień w moim kraju,
smarem ociekają liście —
w POM-ie budzą się traktory...
W tym rozgwarze, w tym poświście
miechów — któż by Klątwy poznał? —
Na ugorze szron topnieje,
i bruzdami pisze traktor
tu klątewskie nowe dzieje...

Nad Klątwami świt — niech dnieje!...

W numerze

Anna Kamieńska — Ludowe — w dzisiejszej poezji.

Michał Krajewski — Rzemiosło.

Zofia Bystrzycka — Dom przy szkole.

Nożyce: — Jak to było z tymi wyborami.

ANNA KAMIEŃSKA

LUDOWE — W DZISIEJSZEJ POEZJI

1. NOWATORSTWO I TRADYCJA

Lansowane od przeszło dwóch lat hasło nawrotu do tradycji narodowej — bardzo słuszne — przerodziło się w wielu poszczególnych wypadkach w osłonę obronnych pozycji burżuazyjnego estetyzmu. Tak bardzo słuszne, tak nigdy nie dość podkreślane, zwłaszcza wobec młodzieży literackiej, to hasło — uczenia się u klasyków naszej poezji — wywołało niezdrową atmosferę tradycjonalizmu i passeizmu. Nie zawsze niestety odświeżane wewnętrznym dynamizmem treściowym — toczyły się w tradycyjnych miarach i w zbanalizowanych obrazach poetyckich — poematy, ody i sonety. Jeśli nie czytaliśmy ich w druku, to znaliśmy z teczek redakcyjnych, z praktyk Kół Młodych. Tym, którzy oburzali się na błędy gramatyczne i stylowe, na dziwactwa koncepcji wielu wierszy powstających przed dwoma laty, przyszło teraz niejednokrotnie zżymać się na „poprawną" gładziznę formy najmłodszej generacji poetów, na banał wyobraźni wielu poetów, którzy jakby zapieczętowali swoje własne zmysły poetyckie, aby przeżywać i trawić komunalne dobro narodowej tradycji, w której obracać się przecież nie tylko wolno — ale i trzeba.

Wiele faktów przeczy tezie o kryzysie współczesnej naszej poezji. Aby kryzys taki zaobserwować, nie wystarczy perspektywa miesięcy a nawet roku i dwóch. A jednak nadal stoimy wobec zadania niezależnego od wszelkich ocen bieżącej koniunktury literackiej: musimy stworzyć nową poezję, musimy stworzyć nową lirykę socjalistyczną. I to nie tylko dlatego, że jeśli tego nie uczynimy — koło historii przejedzie po naszych tomach i tomikach, skazując je na zapomnienie, ale dlatego przede wszystkim, że na tę nową poezję czeka naród. Czekają masy ludowe na poemat, na pieśń, która wyrazi ich życie, ich walkę i ich radości, czeka młodzież, czekają te tysiące, o które rewolucja kulturalna w Polsce poszerzyła bazę odbiorczą literatury, byli analfabeci i półanalfabeci, ludzie pracy.

To Dobrolubow w genialnym swoim artykule o ludowości w literaturze rosyjskiej — określił iście po marksistowsku położenie pisarzy w społeczeństwie burżuazyjnym. To on z głęboką ironią ocenił właściwie te literackie kłopoty, trudy i boje, z których poeta opisawszy czule piękno przyrody, nieba i obłoków — wychodzi z takim zadowoleniem, jakby nie wiedzieć jakich dóbr przysporzył narodowi, jakby dokonał nie wiedzieć jakiego bohaterskiego czynu. A tymczasem naród ten nie dorosłszy do podziwiania subtelności kultury — ze zgiętym grzbietem trudzi się, by wykarmić nie tylko siebie, ale i tych niekiedy wielkich „pięknoduchów" sztuki, pracujących dla zadowolenia cudzego i własnego. Tak! Gorzkie to były rozmyślania i chyba nie staje się prawdziwym pisarzem narodowym ten, kto w swoim sumieniu nigdy podobnych bodaj wątpliwości nie odczuł, kto nie pomyślał o tym, jak i komu służyć będą jego literackie wzloty.

Dziś — w okresie dokonywania się u nas rewolucji socjalistycznej — pisarz może pracować pod tym względem ze spokojem o wiele większym i z poczuciem znajdowania się na właściwym miejscu — nawet jeśli popełnia błędy — ale jeśli pamięta o tych, dla których pisze, którym wiersze jego czy pieśni mają służyć. Dobrolubow pisząc o tym, że lud nie potrafi jeszcze ocenić Puszkina, Żukowskiego, Dzierżawina i Gogola — nie uważał oczywiście, że byli oni niepotrzebni, ani nie mógł mieć im za złe, że pisali rzeczy niezrozumiałe, niepojęte a często nawet obce ludowi. My też nie upraszczajmy sprawy. Rzecz toczy się o te współczesne powszechne i ludzkie rewolucyjne treści, o to, aby szerokie masy odbiorców sztuki w nowym ich ludowym ukształtowaniu odnalazły w nich siebie, swój świat, swoje życie.

I tu przecież sprawa nowatorstwa powraca. Nowatorstwa i tradycji.

Nowatorstwo czysto formalne, o jakie ubiegają się poetyckie szkoły schyłku kultury burżuazyjnej — nie może nam wystarczyć. Dążymy do czegoś więcej: aby nie lekceważąc i nie odrzucając tradycji i tej wielkiej nauki i doświadczenia kulturalnego, jakie daje sztuka przeszłości — przeorać poezję do głębi, pozostawić w niej dla przyszłych pokoleń oblicze człowieka naszego czasu.

Sięgając do tradycji literackiej nie możemy ominąć także jej nurtów plebejskich. Mówiąc o poezji nie możemy pomijać mało jeszcze zbadanego i nie poddanego historyczno-marksistowskiej analizie nurtu plebejskiego prymitywnej poezji ludowej — czyli chłopskiej — zapisanej przeważnie w pieśni. Historia literatury notuje kilka takich głębszych, istotniejszych nawrotów do źródła tradycji ludowej, przy czym zawsze oznaczały one dla literatury coś ważnego.

2. ŹRÓDŁO I STRUMIENIE

Powracanie do źródła ludowego i czerpanie z niego, to, jak się wyraził Julian Przyboś w artykule o poezji ludowej" („Życie Literackie" nr. 11, 1952), stopień prawdziwej dojrzałości twórczej, kiedy to „na szczycie samowiedzy twórczej artysta znajduje się nagle w położeniu twórcy prymitywnego i uświadamia sobie bezradność całej swojej dotychczasowej sprawności artystycznej, staje w obliczu konieczności zaczynania sztuki od nowa". „Rzetelność twórcza jest jedna — pisze Przyboś — widoczna na szczytach sztuki i u jej początków."

Sformułowania te, odnoszące się może do psychologii lub filozofii twórczej — muszą uzyskać w konkretnej analizie zjawisk literackich — bardziej historyczną postać. Trzeba by przypomnieć, kiedy i w jakiej funkcji poezja zwracała się do źródła ludowego. Dla przykładu moglibyśmy przypomnieć Mickiewicza, którego „Ballady i romanse" odegrały tak rewolucyjną rolę wobec swojego czasu i które były zarazem rewolucyjnym nawotorstwem w sztuce pisarskiej, nie mówiąc o tym, że stanowią pierwsze i jednocześnie szczytowe osiągnięcie Mickiewicza — najpowszechniejsze, najprostsze, stojące w szeregu najtrwalszych dzieł poezji światowej.

Również w postępowy i rewolucyjny sposób sięgnęła do tradycji ludowej poezji Maria Konopnicka, którą dzięki temu chyba warto oceniać jako twórczą kontynuatorkę naszego rewolucyjnego romantyzmu. Na tle poezji pozytywizmu, przeżuwającej epigonów romantycznych, na tle tych — jak pisał publicysta „Przeglądu Tygodniowego" — czułych śpiewaków róży, makolągwy i gila, karmiących się lazurem i esencją liliową" — Konopnicka reprezentuje grupę radykalnej inteligencji, która przede wszystkim wyraźnie określa swój stosunek do ludu — do chłopa.

„W jej poezji — pisał słusznie Sienkiewicz — tkwi dusza chłopa i bije chłopskie serce, słychać w niej dzwony wiejskie i kołatki trzód, brzęk kos i sierpów i rodzinną nutę śpiewów wiejskich..." Konopnicka sięgnęła wprost do źródła ludowego — a uczyniła to nie w celu przyswojenia literaturze nowych barw języka i strofy. Przez jej usta istotnie przemówił lud. To co w pieśni ludowej kryło się w aluzjach i symbolice — tu wyraziło się wprost, zagadało pełnym głosem. Niektóre utwory Konopnickiej stały się bardzo szybko własnością ludu, niektóre weszły w lud jako bezimienne już pieśni ludowe. I to jest powód do nazwania Konopnickiej — w szerokim tego słowa znaczeniu — ludową poetką. Uchwycenie istotnych konfliktów, istotnych sytuacji i typów — wyrażenie — jak to się mówiło — doli chłopa — w proporcjach realistycznych — było rewolucyjne.

Bardziej skomplikowana jest sprawa „ludowości" takich poetów jak Syrokomla, Pol i Lenartowicz. Wyjąwszy niektóre utwory, przeważnie satyryczne — byli oni apologetami ginącej szlachetczyzny, zwolennikami sojuszu społecznego. Nie wyrażając rewolucyjnej treści, zgodnej z dążeniami i bytem mas ludowych — wielu poetów tej generacji nie czerpie bezpośrednio ze źródła ludowego — ale tworzy stylizacje noszące piętno obcej mentalności i służące interesom nie ludowym, ale już mieszczańskim. A ostatnia szersza fala ludowości w epoce tzw. Młodej Polski — była już jawnie wrogim, mieszczańskim maskowaniem kułacko - burżuazyjnego sojuszu. „Wesele" Wyspiańskiego jest gorzką, satyryczną oceną Młodej Polski.

Krytyka rosyjska nazywa Majakowskiego ludowym poetą. Jest on nim w pełnym, szerokim, dobrolubowskim pojęciu. Dobrolubow pisał bowiem, że ludowość polega nie na „użyciu trafnego powiedzenia, zasłyszanego w ustach ludu", ale na tym, aby umieć stanąć z nim „na jednej płaszczyźnie". Wielkim problemem twórczym Majakowskiego było to, aby w poezji odnaleźć związek z szerokimi masami. Majakowski sam w ten sposób określa ten swój wielki i rewolucyjny dla poezji problem: „Bardzo trudna to praca, której chcę się podjąć — praca nad zbliżeniem robotniczego odbiorcy do wielkiej poezji, do poezji prawdziwej, zrobionej bez pucu i bez programowego obniżania jej roli". Z wielkim tym problemem borykał się geniusz Majakowskiego, borykają się poeci Związku Radzieckiego i borykamy się my sami. Chcemy tworzyć wielką poezję, poezję prawdziwą i taką, w której wyrażałaby się nasza epoka i w której przeglądałaby się także cała odziedziczona przez nas kultura, ale poezję czytaną, rozumianą i kochaną przez ludzi, przez zwykłych prostych ludzi naszego niezwykłego czasu.

Majakowski tworząc swą poezję agitacyjną czerpał pełnymi garściami nie z salonowo-mieszczańskiej konwencji ludowości — ale z bogatego zasobu rosyjskiego języka mówionego, potocznego, bogactwa przysłów, powiedzonek i pojęć, odwoływał się do powszechnych uczuć, gdy pisał o głodzie, o miłości, o żalu po śmierci wodza - Lenina. I tu — w przedstawianiu tych powszechnych uczuć — znajdował się tuż obok tego źródła, z którego piła sama dawna, prymitywna poezja ludowa, odtwarzająca w swej symbolice i w swych realiach — byt ludu.

3. PIEŚNI DAWNE I NOWE

W ubiegłym roku ukazał się u nas jeden z najciekawszych (nie uchybiając tomikom oryginalnym) zbiorów poetyckich. To „Poezja chłopów polskich" Stanisława Czernika. Nie będąc dziełem naukowca-folklorysty jest książka Czernika inteligentnie wybranym przez poetę zbiorem tekstów pieśni pańszczyźnianej. Komentarz snujący się wśród tekstów nie odrywa ich słusznie od gleby historyczno - społecznej, na której wyrosły, lecz usiłuje szukać ich bezpośredniego związku z bytem ludu pańszczyźnianego. Nie wszedł Czernik na drogę pseudo - naukowego przyczynkarstwa, zestawienia wariantów i charakterystycznej dla folklorystyki idealistycznej — wpływologii. Książka Czernika ma dzięki temu duży walor popularności, może być czytana jak powieść. A już z pewnością w ukrytym zamiarze autorskim — jest książką podręczną dla poetów. Jaka jasność, jaka dokładność wyrażenia i prostota tekstów — cechy prawdziwej poezji. Jaka umiejętność kreślenia w poezji sytuacji i typów — przez prosty, realistyczny obraz poetycki. Niewątpliwie, uczyć się trzeba u mistrzów, ale także bezimiennych mistrzów pieśni ludowej. Pytanie tylko — jak to robić? Jak korzystać z doświadczenia artystycznego ludu — nie popadając w zwykłe naśladownictwo, w przedrzeźnianie ludowości?

Problem korzystania z wzoru ludowego jest szczególnie aktualny w dziedzinie pieśniarstwa. Ciągle jeszcze nie mamy dobrych tekstów pieśni a są za to odpowiedzialni zarówno poeci jak i kompozytorzy. Dla grupki poetów-specjalistów od tekstów pieśni, tych zwłaszcza, którym brak jeszcze doświadczenia artystycznego — wygodny jest pogląd, jakoby tekst pieśni odpowiadał zupełnie innym wymogom artystycznym niż zwykły wiersz. Błędy, które w wierszu by nie przeszły, uchodzą w pieśni — usprawiedliwione jakąś rzekomą jej specyfiką. Pół biedy, gdy są to po prostu błędy gramatyczne. Ale ubóstwo wyobraźni, płycizna uczuciowa i ideowa, ale banał wyświechtanych frazesów pseudopoetyckich... Oczywiście, istnieje specyfika pieśni. Ale nie tkwi ona w tym, co odróżnia wiersz od złej pieśni. Specyfika ta także jest głębsza — dotyczy budowy i kompozycji tekstu, prostoty wątków. Bo przecież i typowość sytuacji, i zindywidualizowanie wyrazu uczuć, i wyrazistość bohatera lirycznego — to warunki zarówno dobrej pieśni, jak dobrego wiersza.

Jeden z najbardziej utalentowanych i doświadczonych twórców pieśni w poezji radzieckiej — Michał Isakowski — potwierdza ten pogląd. (M. Isakowski — „O poeticzeskom masterstwie, Moskwa — 1952). Zastanawia się on nad tajemnicą trwania i świeżości niektórych pieśni przedrewolucyjnych i radzieckich. „Myślę — pisze — że dzieje się to nie tylko dzięki muzyce. Wielką rolę odegrał tu niewątpliwie fakt, że wymienione pieśni były napisane „jako dobre, sensowne i prawdziwie poetyckie wiersze." Poeci piszą często złe wiersze. Ale dziwić się należy kompozytorom, że podejmują się pisać muzykę do złych wierszy. Tym samym skazują swoją pracę na niechybne zapomnienie.

Snując rozważania na temat pieśni zauważa Isakowski, że w pieśni najbardziej widoczne jest, jak niektórzy poeci niezręcznie obchodzą się z folklorem. „Z folkloru starają się dziś korzystać wszyscy. To, widzicie, jest teraz w modzie" — język, ludzie, tradycyjne ludowe obrazy pieśni. Ale towarzysze zapominają przy tym, że z folkloru nie wolno korzystać mechanicznie, czysto zewnętrznie. Folklor jest dobry wtedy, kiedy „wrasta w utwór organicznie, kiedy nie jest „ciągnięty za włosy", ale kiedy sięgnięcie do niego jest podyktowane samym zamiarem twórczym. W przeciwnym wypadku pieśni nie są pisane językiem ludowym, ale językiem imitującym ludowość, językiem pseudoludowym" (łżenarodnym).

Nasza tak kulejąca dotychczas pieśń masowa za mało jeszcze czerpie z ludowego źródła, więcej niestety z mieszczańskiego kabaretu. Ale już należy ostrzegać przed mechaniczną imitacją ludowości — zwłaszcza że posiadamy tak niewyczerpane, bogate zasoby autentycznej pieśni ludowej o wielkiej wartości poetyckiej.

Alę wróćmy do bieżących i konkretnych spraw naszej poezji.

4. WSPÓŁCZESNYM LIRNIKOM

„Wydaje się, że dialektyka ludowości w poezji uczy nas tego, że ludowość nie jest tylko stylem, lecz nosicielem określonych postaw społecznych, że spełnia określoną funkcję, przekraczającą daleko funkcje czysto artystyczne". Przypominam tu swoje słowa z recenzji książki poetyckiej Aleksandra Rymkiewicza. Rymkiewicz w swoim cyklu „Na Kujawach" mechanicznie tylko, powierzchownie naśladuje pieśń ludową. Spróbujcie zaśpiewać te wiersze. Można. Wyjdą nawet uderzenia podkówek i taneczne pohukiwania. Ale nie ma tu ludowości żywej. Nie wystarczy najlepiej nawet podchwycona imitacja ludowych przyśpiewek. Pieśń ludowa zawsze w jakiś sposób odbijała byt chłopski i dlatego przede wszystkim była bliska poetom. Społeczna funkcja takich ludowych stylizacji może być jedna: maskowanie jakiejś obcej ludowi ideologii rzekomym zainteresowaniem dla ludu i jego kultury. Taką funkcję również spełniała ludowość w salonach drobnomieszczańskich, w sentymentalnej piosence stylizowanej na chłopskość i w landszafcie z wyidealizowaną postacią chłopki. „Znam, zanadto dobrze znam!".

I oto na tle zainteresowania, jakie budzi na nowo pieśń ludowa w środowiskach młodzieży chłopskiej, na tle opieki Państwa nad zespołami ludowymi, które nie tylko pielęgnują, ale wynoszą na światło z zapomnienia i rozpowszechniają stare a w szerokim zasięgu — nowe dziś — pieśni ludowe — zaczynają wśród poetów rosnąć jak grzyby po deszczu — wiersze, które ogólnie można by nazwać: o kukułce i traktorze.

„Kukułeczko ptaszyneczko
chętnie radzisz dziś,
mnie niesporo poprzez bory
poprzez wody iść..."

Oto urywek z wiersza młodego poety. Zwróćmy uwagę na fakt typowy: ludowość tej zwrotki jest to — jak mówią — dziesiąta woda po kisielu. Brzmi tu przecież melodia nie ludowa, ale znana piosenka Szopena do słów Wolskiego. Ale kukułka jest. Obowiązkowo. A tematem wiersza jest ni mniej ni więcej tylko praca junaków SP. W tym wierszu organizacja SP, w innym — traktor stanowią rekwizyty nowości, mają świadczyć o odnowieniu, odrodzeniu się ludowej pieśni. Cóż, kiedy jest to chyba sztuczny rumieniec.

Niedawno Jerzy Ficowski ogłosił w „Życiu Literackim" dwa wiersze, również imitujące pieśń ludową i dodał im nowe rekwizyty. Trzeba przyznać, że w obu tych wierszach nowe elementy społeczne przerosły głębiej niż w cytowanym wierszyku. Wiersz „Co mi było po rozłogu", właściwie pieśń, ma ścisłą i prostą konstrukcję, opartą na zasadzie przeciwstawienia, co w dawnej pieśni ludowej spotyka się również.

„Co mi było po rozłogu,
kiedy nie orany,
co mi było po chłopaku,
kiedy nie kochany.
Co mi przyszło z moich rączek,
co nie znały pisma...
We świat progi za wysokie —
moja izba niska.

Jakem ziemię zaorała,
gryka na niej piękna,
jakem chłopca pokochała,
nosił mnie na rękach.
Jak mnie pisać nauczyli,
piszę list za listem...
Piękne drogi we świat wiodą —
z mojej izby czystej".

Pieśń ta nie jest zwykłym naśladownictwem tylko. Zbudowana jest na zasadzie polemiki z motywami dawnej pieśni ludowej. Rozłogom przeciwstawia się zorane pole, bierności i motywom miłości nieszczęśliwej poeta przeciwstawia energię młodej, zakochanej szczęśliwie dziewczyny. Ta, co była niepiśmienna — w drugiej zwrotce skończyła kurs dla analfabetów, drogi powiązały ze światem jej odciętą dawniej wioskę, a izba stała się szersza i czysta. Podobną paralelę przeciwstawną stanowią dwie dalsze zwrotki.

Ta polemika z dawną pieśnią jest też w drugim wierszu „Ej, pojedziesz Jaśku w pole". Tutaj tradycyjnemu „konisiowi" przeciwstawiony jest stalowy koń-traktor. Zabobliwe słowa mówią o pojeniu i poganianiu batem — traktora. Bohaterami jednego jak i drugiego wiersza są postacie młodzieży, która znalazła swoje szczęście w nowych warunkach. Ciągłość kulturalną bytu wsi — na tle rewolucji, podkreśla właśnie stylizacja na ludowość, korzystanie z rytmów i gotowych fraz poetyckich artystycznej konwencji ludowej pieśni chłopskiej.

Oczywiście motyw polemiki — to coś więcej niż zwykła imitacja. Mimo to czytając te wiersze, wyczuwamy jakiś fałsz, jeśli nie ideologiczny tylko — to artystyczny. Optymizm tych wierszy, ich nutę zawadiacką i pełną cielęcego nieco zadowolenia — odczuwamy jako coś sztucznego, niezupełnie odpowiadającego sytuacji naszej młodzieży. Pewnie, optymizm wierszyka:

„Chłopek ci ja, chłopek.
W polu sobie orzę,
Wszystko mi się dobrze dzieje,
Chwała Tobie, Boże...".

był o wiele mniej umotywowany. Ten — jest dialektycznie słuszniejszy. Ale czy konieczna jest ta cukierkowość — ta idealizacja drobnomieszczańska, ten umyślny infantylizm, ten „koniś" i ten romans na traktorze? Nie przesądzam, wysuwam tylko wątpliwości. Wydaje mi się, wracając do tradycji, że Konopnicka tych cech infantylizmu, naiwności w pieśni ludowej nie podpatrywała, a była autorką „Wolnego najmity". Sytuacja dzisiejsza wsi naszej — w okresie kolektywizacji — jest szczególnie dramatyczna, wieś nasza wprowadzona została w ogień rewolucji socjalistycznej. Oczywiście, może trudno od pieśni tego rodzaju wymagać, aby te rzeczy wprost wyrażała. Ale jeśli się pisze sielanki, to po to, aby opiewać stan, a nie walczyć o nowe. I pod tym względem omawiane wiersze Ficowskiego mieszczą się w okresie po reformie rolnej.

Zastrzeżenia ideologiczne wzbudził także poemat Ficowskiego „Oskar Kolberg". Liczne są wdzięki tego cyklu lirycznego. Jest tu żywe uwielbienie i znajomość tradycji poezji ludowej, są zebrane i rozsypane mozaikowe, urocze motywy pieśni ludowej, jest użyty do współczesnej narracji prymityw zwrotki ludowej. „Oskar Kolberg" jest poetyckim osiągnięciem. Ale niebezpieczeństwa jego są widoczne. Nie trzeba było ich może wyolbrzymiać po ukazaniu się poematu, można podkreślać dziś, gdy poeta idąc dalej w tym kierunku zaczął pisać wiersze-sielanki ludowe. Jest w „Oskarze Kolbergu" historyzm — niezbyt wyraźnie odniesiony do współczesności, jest idealizacja postaci tytułowej — Kolberga, który przy wielkich swych zasługach znany jest jako pierwszy cenzor poezji ludowej, przemilczający jej radykalniejsze nuty. Wreszcie niepokojąca wydawać się może w poemacie właśnie mozaikowość motywów ludowych, wybieranie ich niemal z kapelusza systemem dadaistów:

„Żebyś ty, chmielu, na tyczki nie lazł,
nie robiłbyś ty z panienek niewiast,
Dałabym dzieciom moim jabłuszko,
ale mi drzewko za oknem uschło.
Drugiej jabłonce już roczek mija,
już się jabłonka pięknie rozwija.
Nie wyjdzie ci jej jeszcze dwa lecie,
jabłoń obrodzi, będą jeść dzieci!..."

Jerzy Ficowski, urzeczony tradycją ludowości — pojął ją wąsko. Chciałabym, aby przeczytał sobie artykuł Dobrolubowa i wraz ze mną odczuł wątpliwości i niepokój: czy może istnieć poezja ludowo-historyczna? Czy tylko ta poezja może być dziś ludowa, która odbija współczesne dążenia i życie ludu?

Inny rodzaj „ludowego" historyzmu reprezentuje poemat Pawła Hertza „Lirnik mazowiecki". Bohaterem lirycznym poematu Hertza jest Teofil Lenartowicz i jego poezja. Poemat ten napisany jest pięknym językiem i tkwi korzeniami w charakterze polskiej liryki XIX wieku, odbijając i jej współczucie dla doli chłopskiej, i rewolucyjność jej dążeń niepodległościowych.

„Tak się ta pieśń złożyła: z lamentu [i gniewu,
z buntu słabych, podłości możnych, [z klęsk ojczyzny,
z wstydu obcej niewoli i własnej [pańszczyzny".

Artystycznie znacznie bardziej konsekwentny od pozycji wyżej omawianych, znacznie głębszy w swoim zakresie, znacznie bardziej w stylu konkretny i realistyczny — jest jednak poemat Hertza nieco spóźniony. W 1952 roku napisany został poemat, którego treść społeczna nie wykracza poza postawę Lenartowicza, a w tyle jeszcze pozostawia Konopnicką. O ile „Kolberg" Ficowskiego przy swoich błędach i nieporadnościach występuje z niejasno określonych, ale jednak — pozycji współczesnych, to „Lirnik mazowiecki" jest tylko bardzo dobrą stylizacją. Autor pisząc o Lenartowiczu, wciela się weń i jego oczyma widzi świat. Może uchylenie rąbka przyszłości i spenetrowanie przeszłości okiem krytycznym

Dokończenie na str. 7-ej

JERZY MILLER

PRZED SĄDEM NARODÓW

Widzę was wszystkich nad mapą Korei
małej, a przecież zbyt wielkiej zarazem
dla was rojących świat zepchnąć z kolein,
rozbić uranem i spętać żelazem.

Oto we własnej osobie Mac Arthur
z prawym ramieniem wyciągniętym w górę
i z lewą dłonią o bombę opartą
w wystudiowanej pozie á la fuehrer!

Nie zapomnimy nigdy — bądź spokojny,
o twej pionierskiej roli — generale!
Toś ty, swym pierwszym rozkazem w tej wojnie,
polecił bomby zrzucać na szpitale.

Tyś pierwszy nasłał doborowe kadry
nad ciche wioski i ciche miasteczka
i na twój rozkaz myśliwców eskadry
skośnookiego pierś przebiły dziecka.

I na twój rozkaz muszka karabinu
biegła w ślad praczek nad potoku brzeg.
I z twojej woli pasterz owiec zginął
i chłop na skibę obok pługa legł.

Więc choć twa wielkość dziś nieco przyblakła
i w Waszyngtonie mało kto cię ceni,
ja gotów jestem z każdym pójść o zakład,
że świat nie skazał cię na zapomnienie.

Widzę też ciebie Ridgway, generale,
gdy nad kołyską zimniejszą od trumny
schylasz się chrząszczom rozdając medale
z dżumonośności wojsk owadzich dumny.

Widzę twarz ptasią, granat, hełm, dwa colty,
ciało strzeżone tarczą z moskitiery
przed armią chrząszczy składającą hołdy
generałowi dżumy i cholery.

Ty już nie musisz stać w pozie fuehrera,
by jego gestem pokrywać swą nicość.
Sam fuehrer twoje pozy by przybierał,
gdyby cię martwą mógł dojrzeć źrenicą.

I widzę także generała Clarka,
i wielu, wielu jeszcze generałów.
I w moich oczach staje Norymberga,
o której wam by pamiętać się zdało.

Bo przecież wy, jak kiedyś Frank i Goering.
przed Trybunałem będziecie się korzyć,
kiedy nadejdzie ów Goetter Daemmerung
i Sąd Narodów rozprawę otworzy.

Ujrzę was wtedy w gronie mocodawców
pomiędzy jakimś Morganem lub Fordem.
Usłyszę jęk wasz — że to on był sprawcą,
a was rozkazem zmuszano do morderstw.

Ty, Mac Arthurze, wskażesz na Trumana,
Truman na Forda, a Ford na Ridgway'a.
— Już kiedyś taka zdarzyła się scena
z bandą oprawców wrzeszczących: — TO NIE JA!

Na ekran wejdzie film z wyspy Kożedo
i film o dżumie wcielonej do armii.
I wtedy wasze oblicza pobledną,
ostatni świata wolnego żandarmi!

MARIA KURECKA

Najmłodsze miasto

Pisząc o najmłodszym, najpiękniejszym w naszym kraju Miasteczku Dziecięcym — Podgrodziu — wypada zacząć od jego historii. Początkowo była to niewielka, opuszczona osada rybacka, malowniczo położona nad Wielkim Zalewem, tam właśnie, gdzie Odra do morza wpada, tuż obok granicy NRD. W okresie, gdy fala spekulantów i szabrowników przepływała przez Ziemie Odzyskane, mało kto zaglądał do tej rybackiej wioski. Leżała na uboczu wielkiego traktu, między Szczecinem a Nowym Warpnem, i chciwe ręce ludzi szukających szybkich a nieuczciwych zarobków omijały ją wzgardliwie. W latach 1948—49 osiedliło się w Podgrodziu kilku rybaków I oto w trzecim roku tego Planu, pamiętnego Zlotem Młodych Przodowników-Budowniczych Polski Ludowej, i uchwalenia nowej Konstytucji — mała, opuszczona osada rybacka zatętniła pracą. Nad Wielkim Zalewem pojawiły się ochotnicze brygady młodych robotników z Warszawy i Krakowa, z Radomia, Szczecina i Łodzi. Poszły w ruch piły, młoty i kielnie. Z serdecznej troski i prawdziwej dbałości o rozwój naszych najmłodszych obywateli powstało pierwsze w Polsce Dziecięce Miasteczko — Podgrodzie.

Przeszło tysiąc dzieci z różnych okolic kraju spędziło w Podgrodziu pod opieką wykwalifikowanych pedagogów, instruktorów i lekarzy miesiąc wspaniałych wakacji. Nie brak również gości z zagranicy — pierwszy, lipcowy turnus zgromadził w Miasteczku młodzież z okolic Warszawy i Szczecina, oraz przeszło 40 dzieci z Węgier. W sierpniu przebywały w Podgrodziu dzieci ze Śląska i Nowej Huty, z Wrocławia, Katowic, Krakowa, Chorzowa, wraz z młodzieżą bułgarską i rumuńską.

Wśród zieleni drzew stoją czyściutkie białe domki z czerwonymi dachami. Przed każdym z nich — trawnik i kwiaty. Wysypane żwirem uliczki mają różne nazwy: jest ulica Budowniczych Nowej Huty, Bohaterów Koreańskich, Pionierów Węgierskich, Janka Krasickiego i Hanki Sawickiej. Ulica Pionierów Radzieckich przypomina, że Podgrodzie zbudowane zostało na wzór najpiękniejszego obozu wakacyjnego radzieckiej młodzieży — wspaniałego krymskiego Arteku. Nazwy te nadali uliczkom Podgrodzia członkowie jego pierwszej Miejskiej Rady Narodowej, której okazały budynek znajduje się przy placu Stalina. Na skrzyżowaniu ulic z powagą reguluje ruch dziesięcioletnia milicjantka, której spod czapki wysuwają się jasne warkocze. Miasteczkiem tym bowiem rządzą dzieci. Dorośli wychowawcy pozostawili im wiele swobody w kierowaniu życiem młodziutkiego kolektywu. Nie jest to wcale sprawa prosta i łatwa, gdyż obywatele Podgrodzia, których większość stanowią przodownicy nauki i pracy społecznej, bynajmniej nie należą do dzieci „grzeczniutkich i wzorowych". Kipi w nich szczera radość życia, nic więc dziwnego, że nieraz zdarzają się przeróżne konflikty, czy wyskoki. Nie darmo jednak w sali obrad młodziutkiego MRN-u wisi transparent z napisem: „Uczmy się trudnej sztuki kierowania państwem". Piętnastu członków Miejskiej Rady, których wiek waha się w granicach 8—14 lat, bardzo poważnie pojmuje swe obowiązki. Uczą się myśleć i samodzielnie decydować, i z każdym dniem wzrasta w nich poczucie odpowiedzialności za życie całej gromady. Przewodniczącym MRN został wybrany w drugim turnusie 14-letni Adam Mazurek z Wrocławia. Pomagają mu radni, omawiając na zebraniach różne sprawy organizacyjne, czuwając nad czystością i porządkiem, przygotowując imprezy kulturalne i sportowe, rozpatrując zażalenia i skargi, podejmując uchwały, dotyczące ukarania winnych. W pracy tej wspierają ich doświadczeniem wychowawcy, z których wielu nosi czerwony krawat ZMP-owski.

Mali obywatele Podgrodzia słusznie czują się szczęśliwi i dumni, gdy oprowadzając gości pokazują im wszystkie wspaniałości swego miasteczka. Zaczynamy od domków, w których stoją łóżka zasłane czystą pościelą, oglądamy obszerne łazienki z prysznicami, wędrujemy przez jasne, przestronne jadalnie, gdzie dzieci z apetytem pałaszują smacznie przyrządzone posiłki. Mój przewodnik, 10-letni Andrzejek, syn robotnika z huty „Batory", dopytuje skwapliwie:

— Co wam jeszcze pokazać, towarzyszko? Może Domek Młodego Technika? Robimy tam modele szybowców i samolotów. A może stadion sportowy albo bibliotekę? Mamy przeszło 2.000 książek. Ja najbardziej lubię czytać bajki i opowieści o partyzantach. A może dać wam rower? Są małe i duże. Przejedziemy przez całe Miasteczko!

W końcu decydujemy się na podróż kolejką, stanowiącą przedmiot nieustannych zachwytów wszystkich mieszkańców Podgrodzia. Wykupujemy bilet u 12-letniej Irenki, która w kolejarskim mundurze pełni dziś z powagą funkcję kasjerki, i wsiadamy do wagonu. Mały naczelnik stacji „Podgrodzie Główne", Pawełek Księżyk, daje sygnał do odjazdu i lokomotywa, obsługiwana



Foto P. Kornecka

Oprócz spełniania poważnych funkcji — „Podgrodzia nie" ćwiczą się w równie poważnej grze w szachy.

przez młodziutką brygadę pod kierunkiem instruktora, rusza w drogę. Przy następnej stacji „Podgrodzie-Las" wysiada niewielu pasażerów. Wszyscy chcą dojechać do końcowego przystanku 3-kilometrowej trasy: „Podgrodzie-Plaża" i tam dopiero wysypuje się z wagonów gromadka roześmianych podróżnych. Biegną ku wodzie i czekającym u brzegu kajakom.

Zajęcia 13 sekcji, w których, według starannie opracowanych harmonogramów, biorą kolejno udział wszyscy mieszkańcy miasteczka, zajmują każdej grupie 6 godzin dziennie. Reszta dnia pozostaje na uczestnictwo w tzw. „kółkach zainteresowań" jak śpiew, taniec, koło redakcyjne lub radiowe, na wycieczki i kąpiele, wreszcie na odpoczynek i tzw. „zajęcia własne": czytanie, zabawy i pisanie listów do domu. W sekcjach przez miesiąc swego pobytu bierze udział każde dziecko i na pytanie, która z nich dotychczas najbardziej im się podobała uczestnicy drugiego turnusu nie potrafią dać jeszcze całkiem ścisłej odpowiedzi. Bo czegóż to się nie robi w owych „sekcjach"! Należy do nich obsługa poczty, telefonu i telegrafu — w mundurach pocztowców, dalej — żeglarstwo i nawigacja — w marynarskich mundurach, służba kolejowa, sprawowanie zaszczytnej funkcji milicjantki lub milicjanta, służba zdrowia, podczas której można nauczyć się udzielania pierwszej pomocy przy wypadkach, wycieczki w sekcji krajoznawczo - przyrodniczej, modelarstwo w Domku Młodego Technika i mnóstwo innych ciekawych zajęć.

Początkowo i tu zadanie pedagogów nie zawsze jest łatwe. Sławek Nawrocki, 10-letni obywatel III Dzielnicy — w Podgrodziu są cztery Dzielnice, których przedstawiciele, wybrani przez Rady Domków, wchodzą w skład Miejskiej Rady Narodowej — okazał się „trudnym" dzieckiem. Brykał, psocił i jak tylko mógł wyłamywał się spod ogólnie ustalonego porządku. Milicja miasteczka — jedyna chyba w naszym kraju milicja, której wolno wystawiać również mandaty... pochwalne — wiele z nim miała kłopotu. Gdy w końcu przyprowadzono go z nowym, niestety znów karnym, mandatem do wychowawcy, zapytał:

— Powiedz mi, co ty byś właściwie chciał robić, Sławku?

— Nie wiem — brzmiała niezdecydowana odpowiedź. Nastroszony i zadąsany Sławek tkwił pod oknem i piętą wiercił w ziemi potężną dziurę.

— A może chciałbyś wyjechać do domu? Nikt przecież siłą nie ciągnął cię do miasteczka — mówił dalej wychowawca. — Musisz jednak zrozumieć, że dotychczasowym swym zachowaniem bardzo nam wszystkim przeszkadzasz.

— Cóż... Przeszkadzam, to mogę wyjechać — z pozoru obojętnie przystał Sławek. Naraz jednak nie wytrzymał i rozpłakał się serdecznie, rozmazując nie pierwszej czystości rękami łzy po całej buzi. Na policzkach pozostały szarawe smugi. Wychowawca cierpliwie podtrzymywał rozmowę:

— Pewnie, wyjechać możesz. Nim jednak kupimy ci bilet i załatwimy wszystkie formalności, będziesz jeszcze przez pewien czas przebywał w naszym gronie. Na zajęciach sekcji pracujesz dobrze. Pozostały czas tracisz jednak na psie figle, przeszkadzasz innym. Zastanów się — co naprawdę chciałbyś robić?

— Bo ja wiem... — mruknął uparciuch.

— Może chciałbyś cały dzień łazić po drzewach? — uprzejmie zaproponował pedagog najpoważniejszym w świecie tonem.

Sławek podniósł głowę z niedowierzającym uśmiechem:

— E, tam... „Po drzewach"... To nie robota!

— A śpiewać lubisz?

— Nie — brzmiała stanowcza odpowiedź. — Pisać lubię, różne przygody wymyślać i opowiadać, albo spisywać — dodał nieoczekiwanie.

— To może chciałbyś pracować w redakcji „Głosu Podgrodzia"? — zapytał wychowawca.

Bure oczy chłopca rozjaśnił uśmiech.

— To dopiero robota! W redakcji! Ale czy będę umiał? — zaniepokoił się zaraz. — I — czy mnie stamtąd nie wygonią, bo ja przecież, dotychczas, to tak — niebardzo...

— Spróbować zawsze można — uspokoił go wychowawca. — Chodźmy do redakcji. Tam ci wszystko pokażą i wytłumaczą.

Obecnie Sławek, jeden z pierwszych korespondentów „Głosu Podgrodzia", napisał ciekawy artykuł o „Wesołym Miasteczku", stanowiącym jedną z licznych atrakcji dziecięcej republiki. Bardzo mu się podobały strzelnice, karuzele, huśtawki, gabinet śmiechu, diabelski młyn i małe samochodziki o elektrycznym napędzie. Najbardziej znamienne jest jednak zakończenie artykułu: „W „Wesołym Miasteczku" — pisze — czuwa też nad porządkiem nasza milicja. Żeby nikt nikogo nie popychał, nie kłócił się. Tak musi być, bo gdzie nie ma porządku, tam nie uda się żadna praca, ani zabawa".

Maria Kurecka

Nauczyciel — towarzysz literatury

Dokończenie ze str. 1-ej



Foto T. Sarnecki

obudzić ludowy patriotyzm w zapracowanej chłopce. „Ta naczytała się niemało o nędzy chłopskiej, którą pamięta — pisze Komorowski — ale też bronić będzie twardo naszych ludowych zdobyczy".

Komorowski wie, że — w naszym znaczeniu — czytelnictwo ogólnoludzkie aktualizuje związek pracującego chłopa ze wszystkimi, którzy walczyli z wyzyskiem. I tymi co w walce padli, i tymi co utorowali drogę pracy nowego nauczyciela wiejskiego nad wychowaniem człowieka w duchu ludowego patriotyzmu i proletariackiego internacjonalizmu.

*

Trudność druga — była już o tym mowa — polega na nieumiejętności dotarcia do chcącego czytać chłopa. Jakby na ten problem nie patrzeć, zawsze dojść musimy do wniosku, że chodzi tu — jak to się popularnie mówi — o oderwanie od życia, nieznajomość terenu.

Ale nawet nie to jest najważniejsze. Jeden ze znanych korespondentów prasy ludowej, Seweryn Skulski ze wsi Karnkowo (pow. Lipno), opowiedział na jednym ze zjazdów następujące wydarzenie:

Postanowił współzawodniczyć z młodym bibliotekarzem w planowym czytelnictwie. Założyli obaj z góry, że będą się starać tak dobierać zespołom czytelniczym książki, by chłopi uzyskali w rezultacie możliwie jasny pogląd na problematykę walk narodowo - wyzwoleńczych ludów kolonialnych. Młody, zapalczywy ZMP-owiec polecił do czytania Stalina „Marksizm a kwestia narodowa" i... rozłożył z miejsca czytelnictwo, przynajmniej w tym zakresie. Stary wyga Skulski także oddał w ręce czytelników dzieło Stalina, ale — na końcu. Zaczynał natomiast od niewinnej z pozoru powieści Sienkiewicza — „W pustyni i w puszczy". Sam, reemigrant z USA, wiedział doskonale, że w okolicy żyją tradycje wielkich chłopskich poniewierek za dalekimi oceanami, wiedział, że przychodzą listy chłopów z Ameryki, pracujących razem z Murzynami i biedotą chłopską Europy na farmach kapitalistów. Jakże mu łatwo było znaleźć wspólny język z chłopami przy czytaniu Sinclaira Lewisa, Pearl Buck, a następnie Kischa, gdyż los ludzi kolonialnych przypomina żywo tragiczną sytuację naszych chłopów karczujących brazylijskie lasy. A wiedzieć to znaczy znać specyfikę terenu.

„Martę" czytałam ze łzami w oczach — pisze Kunegunda Kozak w pracy na konkurs czytelniczy, chłopka ze wsi Ujanowice, pow. Limanowa — bo i mój los był do niej podobny. Marta miała tylko jedną córkę, a ja zostałam z czworgiem małoletnich dzieci, bez żadnego majątku i dachu nad głową. Zachorowałam, nie miałam się za co leczyć, i nikt o mnie nie pomyślał, ale doczekałam się Polski Ludowej, która mi przyszła z pomocą".

W tym wypadku bibliotekarz okazał znajomość już nie tylko sytuacji w gromadzie, ale nawet poszczególnego czytelnika.

Przez wszystkie nasze wsie przebiegają te same sprawy — skup zboża, kontraktacja, walka o usprawnienie spółdzielczości, zaopatrzenia i zbytu, rośnie wielka fala akcji przedwyborczej — ale też równocześnie każda ze wsi posiada swoje odrębne cechy charakterystyczne; jest więcej lub mniej zaawansowana na drodze do socjalizmu. Mimo woli narzuca się w tym miejscu przykład Godzianowa (pow. Skierniewice). W okresie najcięższej walki klasowej, kiedy zawiązywał się komitet założycielski—kandydatom na spółdzielców podsuwała młodzież ZMP-owska z gimnazjum „Bruski" Panfierowa. Z tej właśnie książki czerpano m. in. argumenty przeciwko okolicznym kułakom. Tego roku spółdzielcy dyskutowali już „Żniwa" Nikołajewej. Lektura odpowiada tu wymogom etapu, istotnym potrzebom, i dlatego jest czytana.

Można by — oczywista — mnożyć podobne przykłady, ale i podanych chyba starcza, by stwierdzić, że dokładna znajomość charakterystycznych cech terenu, w połączeniu z wiedzą teoretyczną o literaturze, podciągną nauczyciela na przodującego kierowniczego działacza, przyśpieszającego rewolucję kulturalną na wsi.

Wiesław Jażdżyński



Foto T. Sarnecki

ANDRZEJ MULARCZYK

Wielki przełom „w siódmej"

Rok temu w szkole na rogu Bednarskiej i Dobrej nauka, jak wszędzie w Warszawie i kraju, rozpoczęła się pierwszego września. Ale choć, jeśli chodzi o wszystkie inne szkoły — nie było to bynajmniej dziwne — w tym wypadku rzecz była godna pewnej uwagi, bo jeszcze na tydzień przedtem stroskane matki, które trzymając za rękę stremowanych kandydatów schodziły z Krakowskiego Przedmieścia i z różowego Mariensztatu w dół ku Bednarskiej, wracały stamtąd zawiedzione. Dawny pałacyk z czasów Księstwa Warszawskiego, do którego dobudowywano nowe skrzydło, był jeszcze ze wszystkich stron podparty rusztowaniami, i tylko podmajstrzy Dłutek powtarzał ciągle i ludziom z ulicy, i załodze:

— Jakby ręce załamał, to by do września dachu nie było.

Był. Dłutek chodził pomiędzy ludźmi:

— Zdążymy, tylko spokojnie — i razem z innymi przecierał kułakiem oczy; nie spali już trzecią noc. Zeszli pierwszego września o 7.30... Gmach był gotów.

Lecz każda chwila rodzi nowe zagadnienia: kierowniczka zachodziła w głowę: skąd wziąć dywan? Może minister przyjdzie na otwarcie...

Być może — minister jak i inni również — nie wierzył, by na Bednarskiej zdążono na czas. Obyło się więc bez dywanu. Punktualnie o ósmej w nowej sali gimnastycznej i na korytarzu było tak tłoczno, że ostatni schodzący z budowy robotnicy nie mogli się przecisnąć. Zmiana warty dokonała się.

Znam podobną do tej historię. Tę pierwszą przytoczyłem po to, by drugą bardziej udokumentować. Tym razem dotyczy ona człowieka. Rok — ten sam — 1951. Zmiana warty dokonała się na przestrzeni kilku miesięcy. Barbara Durasiewicz z uczennicy zmieniła się w nauczycielkę.

XI klasa gimn. im. Konopnickiej działała zwykle solidarnie, ale na Kursy Pedagogiczne zgłosiły się tylko cztery koleżanki. Basi było teraz jeszcze trudniej niż dotychczas: od 7 do 15 praca w Centralnym Zarządzie Przemysłu Farmaceutycznego — od 16 do 21 normalne lekcje, a w dodatku jeszcze trzeba było znaleźć czas, by trzy razy na tydzień trafić na Klonową na Kursy.

Gdy podpisała deklarację, zobowiązującą ją do trzyletniej pracy w szkolnictwie — koleżanki na wszystkich przerwach nie dawały jej spokoju:

— Nie dadzą ci nigdy studiować.

Tak mówiły te, dla których termin „studiować" znaczyło „złapać" intratny zawód, którym wydawała się najczęściej... stomatologia. W domu, każdy członek rodziny okazywał się buchalterem:

— Mało płacą... tyle dostaniesz jak ta, co w barze „Zdrowie" kartofle obiera...

— Ale nie z kartoflami a z ludźmi będę miała do czynienia...

Zdać maturę — to jest wielkie przeżycie. Ale zdawać dwie pod rząd — to już pech. Zresztą — jak się okazało — nie dla wszystkich. Basia Durasiewicz i tę 15 maja w XI klasie, i tę 23 czerwca na Kursach Pedagogicznych zanotowała „piątkami" jako swój sukces.

Pozostawał wolny sierpień. W tym czasie, kiedy w stolicy odbywały się konferencje nauczycielskie, kiedy układano plany przyszłych zajęć — świeżo upieczona siła pedagogiczna kręciła się z piłką pod koszem. Obóz kondycyjny „Kolejarza" w Toruniu trwał do końca sierpnia. Pociąg wyrzucił ją wprost na rozpoczęcie roku szkolnego. Znała tylko uczucie silnej tremy i adres szkoły Nr 90 na ulicy Kasprzaka.

— To pani się nie stawiła do pracy przez dwa tygodnie sierpnia? — powitał ją groźnie matematyk Kapisiewicz — będzie pani odpowiadała.

Dyrektor Marzysz potwierdził słowa matematyka:

— Potrzebujemy nauczycielki, a przysłali jakąś koszykarkę. Tu nie AWF.

Pierwsze sam na sam z uczniami. Klasa piąta.

— Proszę pani, niech się pani nie zgodzi na tę klasę. Nikt jej nie chciał wziąć... Najgorsza — same łobuzy. Pani nie było na konferencji — wyznaczyli nieobecnym...

Ta rada starszej nauczycielki nie pomogła — jak zresztą cała Rada Pedagogiczna. Trzeba było samemu zdobywać doświadczenie. Mimo że nie szło to lekko, każdego dnia razem ze zmęczeniem do domu na Tarczyńską odprowadzało ją uczucie zadowolenia. Obok lekcji języka polskiego przypadło jej również prowadzenie zajęć wychowania fizycznego w najstarszej klasie. Chłopcy z VII klasy z Woli i Ochoty niewiele byli od niej młodsi. Długie fryzury zaczesane z tyłu w „mandolinę" i wąskie porcięta razem z „grandziarskim" otoczeniem zrobiły z nich rasowych bikiniarzy. Oni nie uznawali dyscypliny — mieli swoje przekonania i swoją „morale". Śmieli się w oczy nauczycielce, którą nieraz łzy zapiekły pod powiekami.

Nadeszły dni spartakiady, i koszykarki „Kolejarza" uparcie przebijały się do Mistrzostwa Polski. Mecz z „Unią" Basia strzela pierwszego kosza. Oklaski zrywają się jak nigdy dotąd.

— Brawo. Jeszcze jednego, proszę pani!

Basia z trudem poznaje swoich wychowanków z VII-ej klasy. Cieszą się, machają przyjaźnie ręką, dopingują „Kolejarza".

Na następnej lekcji WF chłopcy z VII klasy zachowywali się jak przystało na... sportowców. Ich młoda nauczycielka zaczęła powoli — zastępując „moralność" bikiniarza moralnością sportowca — ustawiać nowe „fundamenty wewnętrzne" „swoich" niewiele od niej starszych „dzieci".

Andrzej Mularczyk

BOGDAN OSTROMĘCKI

SŁOWO POKOJU

Ten kraj, który zrywał się we mnie
gdy wicher żołnierskich płaszczy szerokich
wrześniowy rozmiatał piach —

gdy chłopak o twarzy ciemnej
z iskrami w łzach
wyprężony w rzucie granatu zastygł na pomnik
nad barykady skłonem pochyłym
z gwiazdą wybuchłą w dłoni.

Ten kraj, który po nocach cicho płakał
nad stukającą łagodnie kołyską
topola mokra w oknie drżała liśćmi,
gorzkie gałązki grały i poświst cichy w krzakach
i torfu dym, i kopyt końskich tętent,
a ręki znak, jak dawniej, w szybkach błyskał.

Który krwawił we mnie
i zrywał się i umierał,
jak żołnierze ogromni, wrześniowi
jak chłopak o twarzy ciemnej,
zanim zastygł na pomnik.

Ten kraj daleki powraca znowu
przed oczy moje
wśród wichru syren, wśród gwiazd górniczych nocy,

abym mu oddał salut bojowy,
słowo pokoju.



W MAŁEJ OSADZIE

Trudno jest w słowa zamienić
to, co się dzieje tu co dzień —
blaski w topolach ciemnych i gwiazdozbiory,
dym nad domami szarymi, gwizd lokomotyw,
niebo dalekie odbite w przydrożnej wodzie
jasnym wieczorem.

Trudno zamienić słowa w spokój i ciszę
przesypywaną przez liście pełne zmierzchu.

Oto powszedni dzień ku nocy się kłoni powoli
w małej osadzie fabrycznej,
bez melancholii.

W małej osadzie fabrycznej
dotyk łagodny mroku
jest odpoczynkiem strudzonych, spokojem usypiających
dlatego chwila, która muzyką jesienną dzwoni
prosto pada na serce
tylko wdziękiem niewymówionym.

Trudno jest w słowo zamienić
to, co się dzieje tu co dzień —

W brzydkiej osadzie podmiejskiej
szeptem wieczoru się zbliża,
dymem sierpniowym nadpływa
słowo jedyne — ojczyzna.



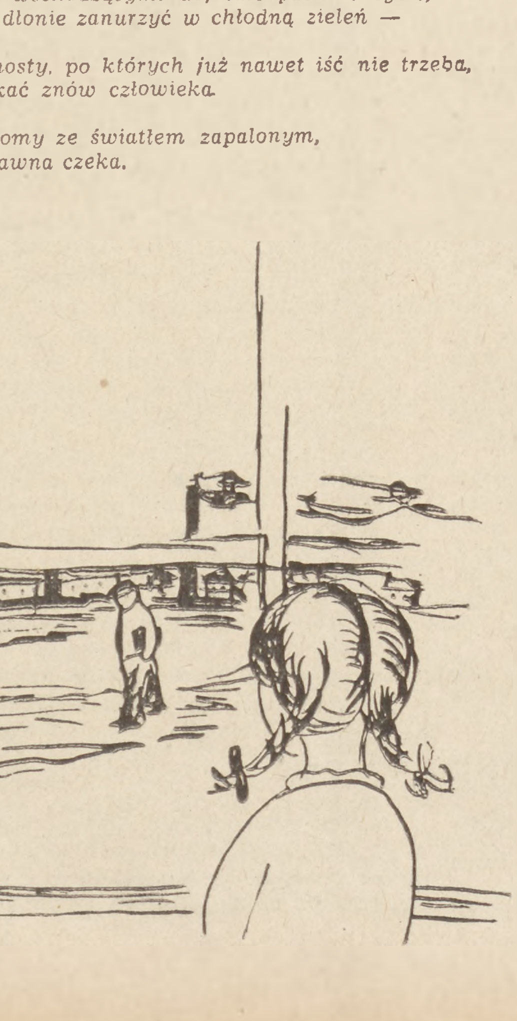
LIST

Może droga ode mnie do Ciebie daleka,
miła moja — może nie łatwa,
słowa jak wstążeczki cieniutkie wiatr porwał i pogmatwał,
ale prawda tak blisko czeka.

Są takie rzeki, które już nie dzielą
choćby się stało na przeciw.
Są, są takie rzeki, w spokojny płyną wieczór,
gwiazdami wschodzącymi dojrzałe pachnie życie,
wystarczy dłonie zanurzyć w chłodną zieleń —

Są takie mosty, po których już nawet iść nie trzeba,
aby napotkać znów człowieka.

Są takie domy ze światłem zapalonym,
które od dawna czeka.



MICHAŁ KRAJEWSKI

RZEMIOSŁO

Zanek Milka z Piasku, który naprawdę nazywał się Zachariasz Kowalik, a którego przezwano Milka po matce, w odróżnieniu od innego Zachariasza Kowalika z tegoż miasteczka, nie był wcale murarzem. W Radomyślu nie była to rzecz zwyczajna, bowiem nie było w tym miasteczku jednej rodziny, w której by ojciec, syn czy brat, z dziada pradziada nie zajmował się murarką. Tak się jednak Zankowi złożyło.

Matka jego trzymała stadko kóz, które przez cały dzień buszowały w rządowej chruścinie porastającej szeroko obydwa rozlewiste brzegi Sanu. W oczach pana Wąchały, nadzorcy rzecznego z ramienia Wydziału Powiatowego c. k. Starostwa w Tarnobrzegu, kozy zaliczały się do najbardziej szkodliwych zwierząt, zwłaszcza jeżeli pasły się w rządowej chruścinie. Zanek Milka, jako odpowiedzialny pastuch matczynych kóz, był na równej stopie z kozami prześladowany przez nadzorcę. Lecz gdyby tych nadzorców było i dziesięciu, to i tak nie umieliby oni złowić na pół zdziczałego chłopaka w wielokilometrowych przestrzeniach bujnej wikliny. Autorytet Zanka Milki w chruścinie powodował, że wypasało się tam również kilkadziesiąt kóz żydowskiej biedoty z Radomyśla, co jeszcze bardziej dyskwalifikowało syna Milki w oczach pana nadzorcy.

Nadzorca Wąchała mieszkał w Zagarlu (od Zagardle), jednej z bardziej romantycznych uliczek Radomyśla, na której podcieniach gęsto rosły pachnące miodem każdej wiosny akacje. Uliczka ta była jednak uliczką proletariacką, bowiem każdego roku wiosną, z każdego przy niej istniejącego domu wyjeżdżali murarze do roboty. Uliczka pustoszała na cały sezon, a pozostali jej mieszkańcy — dzieci i starcy — trudnili się zbieraniem chwastu na swoich nędznych poletkach. Inni grabili choinę w gminnej sadzonce leśnej lub w lasach pana barona Goetza. Często zdarzało się, że co mocniejsi na dokładkę do „zajdek“ choiny dokładali wycięte podsuchy sosnowe. Z tego też powodu istniał w Radomyślu również i leśniczy pana barona rozporządzający kilku gajowymi.

San, który kilkanaście kilometrów dalej wpadał do Wisły, posiadał w tym miejscu duże rozlewisko, na skutek czego był obsypany wysokimi wałami chroniącymi okoliczne wioski przed wiosennymi zalewami. W odróżnieniu od piaszczystych tutejszych okolic, na tym wale rosła bardzo bujna trawa, która również była nie do pogardzenia dla biedoty z Radomyśla, trzymającej kozy lub żywiącej się szczawiem. Dlatego istniał też w Radomyślu, liczącym półtora tysiąca dusz, urząd tzw. pana walowego.

Jeżeli dodamy do tych trzech oficjalnych przedstawicieli władz państwowych jeszcze księdza proboszcza, aptekarza oraz dyrektora miejscowej szkoły, to będziemy mieli obraz całej arystokracji miasteczka. Do niższej hierarchii zaliczali się już tacy obywatele jak organista, burmistrz i kilku majstrów murarskich, nazywanych tutaj dla dobrego tonu budowniczymi.

Trzon ludności jednak, poza kilkudziesięciu żydowskimi rodzinami zajmującymi się sklepikarstwem, stanowiły w Radomyślu od niepamiętnych czasów rodziny murarzy.

Zanek Milka mieszkał na Piasku. Była to już nie uliczka nawet, lecz jedynie jej parodia, ciągnąca się wzdłuż rzeczywiście piaszczystego pagórka, na którym nic oprócz ostrej, sztywnej i kolącej trawy nie rosło. W lecie na całkiem łysych polankach między tą trawą bawiły się gołe dzieciaki polskiej i żydowskiej biedoty. W rozumieniu inteligencji radomyskiej, o której była mowa wyżej, na tym Piasku zamieszkiwali ludzie najnędzniejszej kategorii, nazywani po prostu dziadami albo „bidokami“.

No, z wszystkich „dziadów“ najbardziej biedny był Zanek. Dopóki nie wyrósł jeszcze na zdrowego dryblasa, obijał się jako tako koło walącej się rodzinnej rudery. Po śmierci matki wynajmował się dorywczo do różnych przygodnych robót. Rżnął drzewo w Urzędzie Gminnym lub na plebanii u proboszcza. Pracował niekiedy w okolicznych folwarkach, aż wreszcie ożenił się z jakąś biedotą na wsi. Żonę przyprowadził do siebie.

Jedna bieda to niedobrze, ale dwie biedy to już zawsze cieplej.

— Teraz nasz sąsiad przepadnie — mówił stary powroźnik Szmilicie do swojej żony. — Nu, co on będzie teraz jeść?

— A co on będzie robić, jak będzie miał dzieci? — potakiwała żona Szmilicie, która dobrze wiedziała, co to znaczy bieda, lecz zawsze uważała się za mniej biedną od takich Kowalików. Szmilicie bowiem był dobrym powroźnikiem i robotę przeważnie miał zawsze.

Ale Zanek jakoś trwał.

Nieraz wychodził na parę tygodni w okoliczne wsie lub dwory i zawsze coś stamtąd przynosił do domu — to bochen chleba, to kartofli czwartek, a nawet czasem parę groszy. Ale na długo tego nie starczało. Z roku na rok bowiem było gorzej. Przechodziły całe tygodnie, że nie było co w gębę włożyć, nawet na jeden kąsek. Żona Zanka ledwo krążyła po izbie, raczej do szkieletu niż do żywego człowieka podobna.

Dzieci, których przybywało z każdym rokiem, siedziały w izbie mdłe, blade i obojętne z głodu, bezradniejsze od gołych piskląt. Czasami wypełzły na gorący piasek przed progiem i przypatrywały się zabawom innych.

W takie okresy głodu Zanek resztkami sił wlókł się nad San i łaził po bujnej wiklinie. Przed nim od czasu do czasu zrywał się spłoszony bażant, a niekiedy smyrgnął między krzami młody zając. Jaskółki wesoło śmigały za muszkami w błękitnym powietrzu, a robaczki z kolorowymi skrzydełkami żwawo fruwały wśród młodych, zielonych liści. Zanek patrzył i obserwował bujne, radosne życie przyrody, gorzko i głęboko zazdroszcząc nawet lichym, najlichszym robaczkom, a potem siadał i patrzył bezmyślnie w leniwie płynącą wodę Sanu. Czasami znowu szedł na wsie i przepadał na długo, ale wracał przeważnie z pustymi rękami. Bezrobocie, głód i nędza szerzyły się coraz potężniej. Zankowi jednak trudno było zrozumieć, dlaczego na świecie — kiedy słońce świeci jednakowo gorąco każdego lata, gdy San wciąż toczy jednakową ilość szarozielonej wody, gdy wiklina każdej wiosny pokrywa się bujnym liściem, gdy co roku nad Sanem wyrasta zieleniutka, miękka i soczysta trawa — dlaczego właśnie jemu jest co roku gorzej?

Pozostawało jeszcze jedno wyjście: dostać się z murarzami na roboty.



Dla Zanka jednak nie była to sprawa łatwa. Wiadomo, że murarze — chociaż ówczesnymi czasy nawet w Radomyślu zaliczani do ostatniej kategorii ludzi — nie łatwo przyjmowali między siebie nowych adeptów. Szczególnie w ostatnich międzywojennych latach, już po obaleniu starej c. k. monachii austriacko - węgierskiej, po nastaniu rządów sanacyjnych, i dla tych nędzarzy zaczynało się robić coraz ciaśniej i coraz trudniej.

Bywało i tak, że przez całe lato większość tych pracowitych i doskonałych rzemieślników przesiadywała w chałupach, nie mogąc nigdzie dostać pracy. We wszystkich większych miastach był zastój w budownictwie, i tamtejsi robociarze budowlani sami głodowali albo strajkowali. Wielu murarzy z Radomyśla wędrowało wówczas na okoliczne, bliższe lub dalsze wioski, aby za jakąkolwiek bądź partaninę, za pobielenie izby lub wyremontowanie glinianego pieca pożywić się u chłopów. Bardzo rzadko trafiło się gdzieś budować kościółek wiejski albo — u jakiegoś dziedzica — dworskie stajnie. A i to wówczas majstrowie z Radomyśla licytowali się wzajemnie w przetargach do niewiarogodnie niskich cen. Wiedzieli oni i tak, że koniec końców murarze gnębieni bezrobociem staną do pracy nawet za nędzne parę groszy, które im płacono za 16-godzinny dzień pracy. Wywalczone przez proletariat ceny w dużych miastach, tutaj na głębokiej prowincji nie obowiązywały, a przynajmniej nikt nie myślał ich honorować.

Wreszcie pewnego razu udało się Zankowi, po wielu zachodach, wprosić do pracy u jednego z majstrów przy budowie browaru w Tarnobrzegu. Robota to była pieska, za grosze. Zanek przez całuski dzień rozrabiał wapno w dwóch skrzyniach, a oprócz tego pomagał podawać cegłę murarzom. Kiedy wieczorem po pierwszej wypłacie przywędrował piechotą z Tarnobrzegu do swojego mieszkania, długo siedział na progu przed chałupą i z przejęciem opowiadał żonie o porządkach, jakie panują przy pracy budowlanej. Z całego jego opowiadania przebijała niemała duma, że oto stał się prawdziwym robotnikiem. A przecież w istocie Zanek był na budowie raczej popychadłem. Wszyscy na niego pokrzykiwali, zaczynając od samego majstra, a kończąc na ostatnim mlokosie. Zanek był pracowity, dwoił się i troił, kręcił się po placu starając się odgadnąć wprzód wszelkie życzenia majstra czy murarzy. Pomimo to jednak robota nie szła mu składnie. Na skutek ciągłych pokrzykiwań, otrzymywania mnóstwa różnych poleceń, nie mógł on nigdy porządnie żadnego z nich wykonać. Gdy zabrał się do cegieł, to zapominał o wapnie, jeżeli zaczął gracować zaprawę, to zrobił ją albo za gęstą, albo za chudą.

Po trzech tygodniach, kiedy nastąpiła redukcja, Zanek pierwszy znalazł się na liście zwolnionych.

Jednego lata nastało takie bezrobocie, że do żadnej roboty dostać się już nie mógł. Skądże znowu takiemu Zankowi można było marzyć o pracy, gdy nawet najlepsi murarze siedzieli w domu i wyglądali bożego zmiłowania. Kto miał jaki taki kawałek pola wedle chałupy, ten tyrał w piaszczystym zagonie borykając się z zaperzoną rolą, wyciskając z niej i z siebie ostatnie soki, żeby zdobyć nędzny korzec kartofli lub ćwiartkę zboża na zimę.



Pewnego dnia Zanek Milka dowiedział się, że daleki krewniak jego matki (w Radomyślu wśród murarzy wszyscy prawie byli z sobą w bliższym lub dalszym pokrewieństwie), niejaki Cieślak Jakub, którego popularnie przezywano Jakubeckiem, gdyż lubił on bardzo zdrabniać wszelkie słowa, pracuje gdzieś przy większej budowie za Wisłą. Postanowił udać się do niego.

Jakubecek zdziwił się, a już całkiem oniemiał, gdy Zanek po długim kołowaniu napomknął o istotnym celu swojej wizyty. Ochłonąwszy zaczął tłumaczyć Zankowi:

— Bój się Boga, chłopie! A cóż byś tam robił? Jest kawałek stajni do wymurowania, my sami we czterech nie mamy tam co robić. A zresztą gdzie by cię tam „Simisiak“ wziął do roboty, gdzie?

Ale Zanek nie ustępował.

— Cieślok! Przecie potrafię robić wszystko na budowie, co mi tylko dacie — wszystko zrobię. Mogę nawet... mogę i murować nawet — zaczął w końcu łgać, gdyż jeszcze nigdy nie murował.

— A bo to prawda? — zaśmiał się Jakubecek — co tam z ciebie za murarz, czy to nie wiem?

W końcu Zankowi udało się ubłagać krewniaka i w ten sposób dostał się on do pracy we dworze wedle Dwikóz, obok Sandomierza.

Podmajstrzy Skoczek, zwyczajem radomyskim przezwany jeszcze z dzieciństwa Stach „Simisiak“ albo „Kwestyś“, przyjął Zanka do pracy wiedząc, że będzie miał bardzo taniego a mocnego robotnika. Zresztą podmajstrzy Skoczek miał poczucie humoru, a Zanek na budowach był uważany za szczególnie pobudzającą do śmiechu ofiarę.

Tak więc Zanek stanął do roboty z kielnią.

Kielnia ta i młotek były wprawdzie pożyczone, bo skądże by mógł Zanek kupić sobie narzędzia? Pożyczył je u Tryka, murarza ze sąsiedztwa, obiecując oddać w porządku zaraz po pierwszej wypłacie.

Murarze podrwiwali sobie z Zanka i z jego roboty, ale znając biedę, jaką ten miał w domu, nie czynili mu większych wstrętów. Murarz, stary Kaim, od czasu do czasu przyuczał Zanka i wymyślał mu na pół w żartach, na pół serio:

— Ej, ty panie mulorz! Przypatrywałbyś się, jucho, tej cegle, jak ją kładziesz na mur, a to każda sztuka u ciebie leży z zadartym tyłkiem do środka.

Zanek wysłuchiwał pokornie wszelkich uwag, wymysłów i pouczeń i starał się gorliwie zadowolić kolegów. Zawsze siebie uważał za niegodnego bratać się z takimi mistrzami kielni jak Kaim, Jakubecek, albo Wujo. Najwięcej jednak obawiał się i truchlał na widok podmajstrzego, bojąc się niewymownie, aby ten nie spostrzegł jego słabej znajomości zawodu. Podmajstrzy Skoczek nie nazbyt jednak uważał. Zbliżała się sobota i cała uwaga podmajstrzego była zajęta wydostaniem pieniędzy albo chociaż jakiejś zaliczki od dworskiego rządcy. Jeszcze z rana nic nie było wiadomo. Przy tym murarze dowiedzieli się pod koniec dnia, że na Sanie wezbrała woda i wobec tego na niedzielę trzeba będzie pozostać. Było to wszystkim nie na rękę, bo dzień wcześniej kupili we dworze cielaka dorżniętego na skutek jakiejś choroby i każdy radował się, że na niedzielę przywiezie do domu trochę mięsa.

Po obiedzie podmajstrzy zjawił się na robocie i rozmawiał o czymś z Kaimem. Widocznie mowa była o pieniądzach.

— Pewnie podmajstrzy przyniósł pieniądze — odezwał się Zanek do Wuja.

— A co ci tam, Zanek. Rób i patrz końca. Jak przywieźli pieniądze, to i zapłacą.

— Chyba pójdę jeszcze na noc do domu — odezwał się po chwili Zanek.

— A którędy? Przecież się nie przewieziesz przez San.

— A może by spróbować przez Zawichost?

— At, posiedzi się jedną niedzielę i tutaj. Zima za pasem, to i tak w domu jeszcze się do wiosny naprzykrzy. Mamy cielaka, to go jutro przyrządzimy na obiad, albo na śniadanie. Jak myślisz — wątróbka z cebulką dobra by była?

Ilustrował JERZY FLISAK

SŁO

— A dobra, Wuju, dobra — potwierdzał Zanek. — A jakby tak jeszcze kielich gorzałki do niej, nieprawda?

— I, nie piję, chyba musi być wielkie święto.

— Ba, cielak to się i w święto nie trafi — dogadywał Zanek.

Wujowi istotnie przyszło na myśl, że półkwaterek gorzałki by nie zawadził. Kręcił się więc na budowie, aż było zupełnie ciemnawo, i kiedy wszyscy odeszli już do mieszkania, chyłkiem wykradł się do szynku i kupił pół litra wódki. W drodze postanowił uczynić kamratom niespodziankę. Schował butelkę do kieszeni, a dla niepoznaki przysłonił odstającą połę marynarki skrzynką z narzędziami.

Wujem albo Smejem przezywano starego murarza, który dawno wyemigrował do Kanady, a po kilkunastu latach wrócił z powrotem do rodzinnego miasteczka. Nie dorobiwszy się niczego, wziął się znowu za murarskie rzemiosło. Pobyt za oceanem nauczył go tylko chytrości, która z biegiem lat zamieniła się w zwyczajne skąpstwo.

Wujo był doskonałym murarzem, ba, artystą!

On to wraz z Ferdkiem Kameckim u starego Jasiuńcia pracował przy Politechnice Warszawskiej, arcydziele murarskiego kunsztu, przy kościele Floriana na Pradze, który stoi na odwróconych łukach wymurowanych z cegieł dla utrzymania go na bagnistym wówczas gruncie nadwiślańskim. A gmach to potężny, nie było w nim ani jednego gwoździa i ani kawałka drewna oprócz wiązań dachowych. Nawet szyby były wprawione ołowiem prosto w ceglane węgarki wysokich, gotyckich okien.

Mimo tego poważniejsi murarze, jak Kaim albo Jasiuńcio, lubili pokpić sobie z Wuja, szczególnie na temat jego pobytu w Kanadzie. Najwięcej dokuczano mu przytaczając jakoby jego własne twierdzenie, iż przepłynął przez morze na kijance i żywił się przez sześć niedziel kostką cukru, co było aluzją do jego skąpstwa. Toteż półkwaterek Wuja był niecodziennym zdarzeniem.

W mieszkaniu było już ciepło. Kaim napalił w piecu wiórami z budowy. Garniec czarnej kawy wesoło bulgotał na rozpalonej do czerwoności blasze. Wujo wszedł do mieszkania, ostrożnie zdjął marynarkę i powiesił na szafie, zbitej z grubych desek. Naturalnie, że dzisiaj nie napocznie wódki, ale za to jutro przy śniadaniu wypiją po kieliszku do tej cielęciny. Mimo jednak ostrożności Wuja, chytry Kaim zauważył szczególną pieczołowitość, z jaką Wujo chodził koło starej bluzy.



Parokrotnie próbował zajrzeć, co też tam Wujo tak troskliwie przechowuje, ale nie było okazji. Postanowił wyczekać cierpliwie, aż wszyscy zasną. Ale murarze gawędzili długo, a potem Wujo zaczął odmawiać swoje pacierze i klęcząc na pryczy walił się swoją żylastą dłonią w zapadłe piersi, aż dudniło.

— E, Wuju! Położyłbyś się spać, nie męczyłbyś Pana Boga — zniecierpliwił się Kaim.

Nazajutrz dzień był chłodny i bardzo pochmurny. Zacinał deszcz ze śniegiem i murarze spali przy niedzieli trochę dłużej. Wujo tylko wstał wcześniej i już od rana krzątał się koło kuchni. Wreszcie smakowita woń smażonej cebuli podniosła wszystkich z szerokiej pryczy, wymoszczonej słomą. Zanek uwijał się koło Wuja przy kuchni i zaparzał świeżą kawę. Wnet miska pachnącego mięsa zjawiła się na stole, a kiedy wszyscy zasiedli naokoło, Wujo uroczyście wydostał z marynarki gorzałkę i postawił na honorowym miejscu na środku stołu.

— Ehe, toście nam niespodziankę zrobili! — zawołał roześmiany Jakubecek.

— Ty Wuja jeszcze nie znasz, a on lubi pociągnąć — przekomarzał się Kaim.

— E, co ty tam pleciesz. Zimno, to się i napijemy. Jakże to jeść cielaka bez wódki.

— A słusznie, słusznie — przytwierdzał Zanek, który jeszcze kropli wódki nie wypił, a już poweselał.

— No to nalewajcie, Wuju!

Oberżnięte z butelek szklanki napełniły się do brzegów. Wtem w otwartych drzwiach stanął podmajstrzy. Rozejrzał się szybko po izbie i zobaczył przygotowane śniadanie.

— A, dzień dobry, dzień dobry! Widzę, żem nieźle trafił — zawołał od progа.

Wujo nalał jeszcze jedną szklaneczkę.

— No, chłopcy, żeby nam się poszczęściło! — wniósł toast Wujo i jednym haustem wlał zawartość szklaneczki do gardła.

— Chaim!

— Siulim!

— Abyśmy byli zdrowi, a nasze dzieci bogatych rodziców miały — zdążył wtrącić Zanek przed wypiciem.

— E, ty mizeroto — roześmiał się pogardliwie Simisiak i spojrzał z góry na Zanka wychylając wódkę.

Ale przełknąwszy napitek i nie puszczając kieliszka z rąk spojrzał naraz zdumionym wzrokiem na obecnych. Pozostali również patrzyli w zdumieniu jeden na drugiego. Jeden tylko Wujo odchrząknął, jak gdyby rzeczywiście pociągnął haust mocnej wódki. Zanek patrzył w swoją szklankę i mlaskał językiem jakby coś sobie usiłował przypomnieć. Potem jeszcze raz wylał na język resztkę płynu, mlaskając w dalszym ciągu podejrzanie.

— Wuju! Toć to woda — wykrzyknął wreszcie — dobryście żart z nas sobie ustroili.

— E, co ty tam głupi pleciesz — odpowiedział Wujo nie zbity z tropu. — Wczoraj żem ją kupował w szynku. — Przy czym dalej smakowicie przeżuwał wątrobę.

— Jak to, piliście i nie czuliście, że to woda? Stary z was kawalarz.

— Nie może być — zaperzył się Wujo z ustami pełnymi mięsa. — Choroba! Mnie tam smakowało jak czysta okowita.

— Aleście przecież nie pijani?

Wujo podniósł butelkę z resztą wody, potrząsnął nią, powąchał, a potem przechylił do ust i spróbował.

— Toć prawda, woda — zawołał nareszcie ze zgorszeniem i wstyd mu się zrobiło, że tak dał się nabrać.

— Toć mi nalewali ze świeżej butelki — wołał rozżalony — ale zaraz pójdę i tak tego szynkarza zwymyślam, że popamięta drań na całe życie — zaperzył się stary i poderwał się, jakby rzeczywiście chciał biec do sklepiku.

Murarze śmiali się do rozpuku.

— A to chytrus z was, tanim kosztem chcielibyście zażyć przyjemności, co Wuju, he? — śmiał się Jakubecek.

— Zdawałoby się — taki solidny chłop, a dla podmajstrzego nie ma żadnego szacunku — wtrącił Simisiak. O, czekajże, dam ja ci jutro na robocie, ty stary Smeju!

Tymczasem Kaim podszedł wśród ogólnego śmiechu do pryczy i wyciągnął spod niej butelkę, ale już z prawdziwą gorzałką, którą w nocy zamienił Wujowi na wodę.

— Na, Wuju! Napij się prawdziwej wódki — zakpił Kaim — ja tam nie jestem taki chciwiec jak wy, żebym wodą ludzi częstował.

— A żeby cię choroba! — wykrzyknął Wujo na widok swojej butelki. — Toś ty ją pewnie schował, ale kiedy, na Boga, przecieżem ostatni usnął.

— Wuj jeszcze przez sen mamrotał i mamrotał te pacierze. Pan Jezus się nie modlił tyle i z wody wino zrobił, a ty Wuju tyle się modliłeś i modliłeś i z wódki wodę zrobiłeś. Kiepski z ciebie prorok. — Wśród śmiechu wypito wreszcie nieszczęsną półlitrówkę.

W parę dni później chwycił przymrozek na noc i robota szła coraz ciężej. W dodatku Kaim zszedł wcześniej z roboty, bo go napadły jakieś boleści w dołku. Murarze śpieszyli się, żeby „wyciągnąć" jak najwięcej roboty przed nadchodzącymi mrozami.

Wieczorem Simisiak zajrzał do izby, a zobaczywszy stękającego Kaima, wszedł do środka.

— A co to Jędrkowi?

— E, nic mi nie będzie, trochę boleści mnie złapały, ale już mi przechodzi — wystękał Kaim.

Wujo zaś odezwał się:

— Nie umrze, nie umrze aż do samej śmierci.

Mrugnął do Zanka, wyjął wyblakłą, zabieloną calówkę i z najpoważniejszą miną przystąpił do Kaima i począł go mierzyć, jaki długi.

— Dajcie spokój, Wuju — stęknął Kaim widząc te żartobliwe zabiegi. — Jeszcze nie zbiera mi się na umarcie, co ty już miarę ze mnie zdejmujesz!

— A ty co myślisz, czy nie lepiej cię tu pochować? Dziedzic da desek na trumnę, o, zaraz jutro pójdę po nie do rządcy. A kobieta zaoszczędzi parę groszy.

Ale podmajstrzy zmartwił się. Kto wie, kiedy Kaim znowu stanie do roboty, a tu każda godzina droga. Lada chwila może sypnąć śnieg i przyjść jeszcze większy mróz. Złość go porwała, aż zakrzyknął:

— Zanek, a ty przyłóż się trochę do roboty, leniu, bo widzę, że cały dzień się po budowie obijasz. A robota musi być skończona, musowo!

Na drugi dzień, wobec przedłużającej się choroby Kaima, Wujo postawił Zanka do pracy na narożniku. Zanek pracując drżał co chwilę, czy aby skądś się nie wychyli podmajstrzy i nie zacznie obserwować jego roboty. „Żeby choć tak dzisiaj się nie wydzierał — myślał Zanek — to bym zawsze jako tako się wprawił".

Ostatecznie robota nie szła Zankowi najgorzej. Z narożnikiem co prawda trudno sobie bez wprawy poradzić — to nie to, co układać cegły do sznura. Na narożniku trzeba układać cegły z czuciem i dobrym okiem. Chybisz na milimetr, a wyżej już na parę centymetrów krzywizna wyrośnie i rozbieraj, bracie, potem. A tu podmajstrzy się wścieka, a i drudzy się śmieją, że wstyd.

Więc Zanek pilnował się pionu, jak nie wiem co.

Podmajstrzy rzeczywiście zjawił się na budowie, jak zwykle, i nie minął przy tym miejsca, gdzie pracował Zanek. Rzuciwszy okiem na robotę, nawet nie zauważył jakichś szczególnych braków. Zanek właśnie układał narożną dziewiątkę (cegła skrócona o ćwierć długości dla utrzymania wiązania muru), i — czy to lico cegły, czy nierówne jej ucięcie nie spodobało się „Simisiakowi" — dość że zawołał z dołu do Zanka:

— A wykręć no tę dziewiątkę! — i poruszył odpowiednio dłonią. Zanek jednak — z gorliwości, czy ze strachu — wykręcił cegłę odwrotnie.

— Nie tak, nie tym bokiem! — krzyknął głośniej podmajstrzy. Ale i tym razem Zanek nie trafił. Podmajstrzy tupnął nogą ze złości, a speszony murarz znowu przekręcił cegłę odwrotnie.

— Tak? — zawołał na dół do podmajstrzego, wychylając się całą połową ciała za narożnik.

— Nie tak!

— Tak?

— Nie tak, bałwanie!

— Tak?

— A żeby cię cholera wzięła! Popatrzta, co to bydlę robi! — darł się podmajstrzy.

Zanek jeszcze raz przewrócił cegłę i ułożył ją, jak mu się zdawało, akuratnie.

Podmajstrzy schwycił się za głowę. Zanek, zupełnie już zbaraniały, wykręcił jeszcze raz przyrąbaną cegłę i osadził ją na świeżo podłożonym wapnie, ale niestety obrąbanym czołem na zewnątrz.

— Tak? — zawołał już nabrzmiałym od łez głosem.

Wówczas podmajstrzy zawrzeszczał w ostatniej pasji:

— Tak, tak, tak, cholero! — i rzucił się na sztagę prowadzącą na wierzch budynku.

Pozostali murarze wybuchnęli grzmiącym śmiechem.

Zanek na wpół przytomny ze strachu przed czekającą go burzą patrzył, jak podmajstrzy, cały czerwony ze złości, jednym kopnięciem odrzucił fatalną cegłę precz z narożnika.

— Z ciebie taki murarz, jak ze mnie biskup! — wrzeszczał Simisiak kopiąc, choć już niepotrzebnie, w świeżo wymurowany narożnik. Cegły spadały na dół jedna za drugą.

— Zabieraj graty i won mi z budowy, żebym cię ani minuty tu więcej nie widział!

Zanek stał jeszcze z minutę na rusztowaniu osłupiały, wreszcie powiódł wzrokiem po brygadzie, ale wszyscy milczeli i każdy gorliwie robił swoje. Wówczas Zanek schylił się po młotek i kielnię i zszedł po sztadze na dół.

W godzinę później, wieczorem, Milka szedł piechotą za San, a późną nocą dotarł do chałupy, ale doszedłszy pod drzwi nie miał już siły i woli zastukać. Usiadł na progu i patrzył w wyiskrzone niebo. Mróz brał coraz większy.

Naraz coś zaszurało koło jego boku i drobna, chuda ręka sięgnęła w głąb pustej Zankowej kieszeni.

— Tato, ni mos nic chleba? — podniósł się od zimnego progu zachrypnięty dziecięcy głos.

*

Tego roku latem, przejeżdżając koło Stalowej Woli, ujrzałem Zanka Milkę na robocie przy budowie nastawni kolejowej,

Było ciepłe, letnie przedpołudnie, toteż z ciekawością wdrapałem się na niewysokie rusztowanie i przywitałem się z Zachariaszem.

Zanek ciągnął gzyms na zgrabnym kolejowym budyneczku. Wyglądał zdrowo i poświstywał sobie wesoło.

Naturalnie rozpoczęliśmy rozmowę o dawnych czasach i dawnych znajomych.

Smej i Kaim pomarli jeszcze przed wojną. Wujo, chociaż już bardzo stary, jeszcze od czasu do czasu łaził za partaninami. Teraz pobierał emeryturę.

— Co tam się dzieje teraz z Kwestyniem? — zapytałem go w trakcie rozmowy.

— Zszedł na psy — informował mnie Kowalik. — Ostatnio w jakiejś spółdzielni coś tam robił, ale i stamtąd go przepędzili. Skończyło się ich panowanie.

— No, roboty to teraz chyba nie braknie? — zapytałem.

— Ba — odpowiedział z godnością. — Roboty, ile dusza zapragnie.

— I ciągle tak koło domu się trzymasz?

— A pewnie. Toć już i lata nie té. A koło domu, to samochodem człowieka na robotę wożą i samochodem przywożą z powrotem. Wszelka wygoda!

— A rodzina jak tam żyje?

— Chwała Bogu, wyrastają na ludzi. Zresztą co tu mówić, nie wiesz, jak to dawniej było? Ksiądz, organista, wałowy, tam majster jeszcze jeden czy drugi — to wszystko byli Bóg wie jak wielcy ludzie dla nas. A teraz, jakby tak dobrze policzyć to nie wiem, czy nie więcej jak ponad setkę narachowałbyś w Radomyślu dorastającej młodzieży, co się uczy na inżynierów, na doktorów, na nauczycieli... Dawniej to się u nas roiło od murarzy bezrobotnych, a teraz to i murarzy za mało, bo wszystko siedzi w szkołach, a i to, jak się wyuczy, wszystko wali do miast. Mój chłopak w wojsku służy, a najstarsza córka jest nauczycielką koło Wrocławia.

Staliśmy chwilę zapatrzeni w rozległą, zieloną równinę Sanu.

— Zanek! A te akacje w Zagarlu het jeszcze rosną?

— Gdzie tam. Wszystko zmarnowało się w wojnę.

Westchnąłem.

— Głupstwo akacje, Zanek — ocknąłem się, przypominając sobie potężne fundamenty pod nowe kominy Stalowej Woli. — Nasze dzieci teraz sadzą lepsze drzewa niż my — powiedziałem do Zanka, wskazując ręką w stronę sterczących nad lasem dalekich i wyniosłych kominów wielkiej Huty.

Michał Krajewski

ANDRZEJ BRAUN

Życiorysy nie urojone

DWIE WARSTWY CZASU

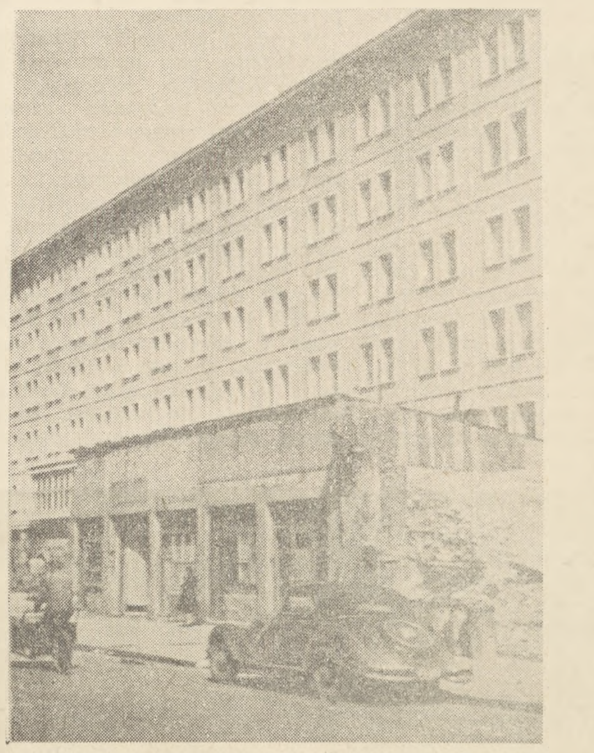


Foto F. A. Kaczkowski

Zupełnie inaczej go sobie wyobrażałem. Toż to prawie bohater.

Powinno być w nim coś bohaterskiego. A ten milczący, mrukliwy i wysławiający się z trudem starszawy już robotnik robił wrażenie zupełnie nieciekawego. Znaleźć go, trafić do jego mieszkania, nie było wcale łatwo. Są u nas jeszcze w śródmieściu takie podwórza jak złe wspomnienie, jak nagły skok w przeszłość. Wchodzisz z krzyczącej, zapełnionej gwarem ludzkim i sznurami samochodów ulicy w bramę domu, na który nie zwykłeś spoglądać powyżej parteru. Fronty restauracji i sklepów przy chodniku zasłaniają ci to, co wznosi się powyżej — czarne wypalone oczodoły, resztki balkonów, krawędzie ścian zaokrąglone przez czas, jeden z tych domów, których nie dostrzegasz, które stoją tu od powstania. Domy takie, martwe od parteru, stanowią o obliczu wielu miast na zachodzie, z takich domów składa się zachodni Berlin. U nas dopiero białość i smukłość MDM-u, urywająca się przy Wilczej, uprzytamnia, że przedtem mieliśmy czarną Warszawę.

Gdy więc wchodzisz z gwarnej, jasnej ulicy w taką bramę, przekraczasz granicę dwóch światów. W pustych, czarnych murach szeleści woda, pod mrocznym sklepieniem bramy chodnik jest dziurawy, zasypany brudem i popiołem. Resztki schodowe prowadzą donikąd, od wewnątrz frontowa kamienica jest tylko blokiem głazów wypełnionych ziemią. Podwórze, typowa studnia warszawska, jest tylko dolinką wśród takich samych pustych, czarnych skał. Straszne, martwe i głuche podwórze. Wchodzę do suteryn jednej z oficyn, której piwnice są jeszcze zamieszkałe. Zasłony z desek w bielonym murze, kłódki, anemiczny, żółty blask żarówki. Spoza drzwi, które kiedyś wyjęto z rozłupanej szafy, dolatuje dźwięk radia.

Powtarzam — zupełnie inaczej go sobie wyobrażałem, toteż rozmowa szła opornie. Kazimierz Tomaszewski, szlifierz posadzkarni, czyli lastrykarz, pracujący w ZMB 1 na Kole jest jednym z pierwszych ludzi, którzy wykonali w Polsce Plan 6-letni.

— Pochodzę ze wsi, z powiatu skierniewickiego — mówi powoli poruszając ustami. Żona patrzy nań z dumą i tajonym uwielbieniem.

— Urodziłem się w 1906 r. — ojciec mój był kowalem wiejskim i do dwudziestego roku życia pracowałem z ojcem w kowalstwie. Po powrocie moim z wojska ojciec zmarł i przeniosłem się do Warszawy. Ożeniłem się i już osiemnaście lat mieszkamy w stolicy.

Pociera szczeciniastą brodę i spogląda mi z zakłopotaniem w oczy.

— Szkoły to ja żadnej nie mam. Chodziłem na wsi, skończyłem coś dwa oddziały. Teraz wszystko jest otwarte, ale wtedy chodziło się po parę kilometrów piechotą, a i to nie chcieli przyjąć, bo za dużo lat i tam dalej.

O życiu opowiadać nie lubi, ale o robocie ...Wtedy zaczyna się ożywiać.

— W Warszawie cały czas pracowałem już w swoim zawodzie jako lastrykarz. Przed wojną, bywało, w prywatnych przedsiębiorstwach na godziny. W czasie wojny dorywczo. Teraz idzie wszystko na akord, normy.

Opowiada charakterystycznym tonem znawcy, starego fachowca. Niewiele można z niego wydobyć sądów, ale widać, że pracę swoją kocha, że zasłania mu wszystko.

— Na początku ludzie byli niewprawni, młodziaki — dodaje z przekąsem — ciągle trzeba było za nich poprawiać. Po wojnie robiliśmy na Krakowskim, na Młynowie, w Alei Niepodległości. Pracujemy we dwóch, zespołowo, czasem robi się nawet szóstki, ale ja najchętniej wolę we dwóch. Dobieram sobie drugiego, dobrego człowieka i dniówki dzielimy po połowie. I tak jeden drugiego podciąga, czasem z 400 zł na 1000. Jak się chłopak dobrze wyćwiczy, to potem idzie sam robić. Rodziny nie mam dużej, bez dzieci. Ej, ciężko to jest praca. Sypie się marmur mielony w cemencie, toteż trzeba stać po kolana w błocie, praca cały czas w kucki, albo na kolanach, stać nie można. Z tego po paru latach reumatyzm przychodzi. Zarobki są dobre, bo to fachowa praca: osiemset, dziewięćset, do tysiąca w dwa tygodnie, wszystko na akord.

— To przyszło z Włoch — tłumaczy z ożywieniem — z tej masy robi się stopnie, kolumny, parapety. Kłaść trzeba ręcznie, szlifujemy częściowo maszynami, zależnie od zdolności. Każdy schodek powinno się wykańczać pięknie.

Widać lubi dobrą, piękną robotę.

— Teraz pracuję na Kole — podejmuje opowieść — kończymy szkołę. W czerwcu i lipcu wykonaliśmy dwie budowy i tym samym wypełniłem zadania Planu 6-letniego. Od czego to zależy? Hm... Normy były wykonywane nigdy nie mniej niż 300 proc. Normalnie wykonują u nas ludzie od 150 do 280 proc. Wszystko zależy od zorganizowania roboty, od tego, żeby nie było przerw w przechodzeniu od stanowiska do stanowiska. Majster i inni dobrze organizują dostęp do pracy, toteż przerw nie ma. Zależy też od tego, żeby elektryk przyszedł podłączyć na czas, żeby na nic nie czekać. Chodzi o rozłożenie pracy i przerzucanie ludzi. Nie marudzić, nie tracić czasu, orientować się szybko. Tak jak z nauką — uśmiecha się — jeden uczy się szybciej, inny gorzej. Chwała Bogu jestem silny w rękach. Przez cztery lata nie mam ani jednego zwolnienia, ani jednego dnia opuszczonego.

Człowiek, który w trzy lata wykonał Plan 6-letni, zdąży jeszcze do roku 55 wykonać drugi. Ta suteryna, w której mieszka jest wobec niego jakimś nieporozumieniem, nonsensem czasu. Przecież on żyje w socjalizmie. Tak to dziwnie zderzają się jeszcze, plączą i przenikają wzajemnie różne warstwy czasu, historii.

Wobrażałem go sobie inaczej. Nie wyróżnia się uświadomieniem, o wielu rzeczach nie ma pojęcia. Ale po prostu kocha swoją robotę, swój fach. I ta zwykła miłość do zawodu pozwoliła mu zostać bohaterem. Tylko w Polsce Ludowej jest to możliwe. Tylko w naszej rzeczywistości praca zmienia człowieka na kogoś większego niż jest. Tylko w czystym powietrzu socjalizmu drobne ziarno wyrasta w kwiat.

Andrzej Braun



Foto CAF

ROMAN KARST

POWRÓT ARCYDZIEŁA

Przekład powieści Tołstoja — to wydarzenie literackie. Wydarzenie tym donioślejsze, że przedwojenne tłumaczenia Tołstojowskiej prozy nie grzeszyły zbyt wielkimi walorami literackimi i na ogół nie spełniały swojego zadania. Toteż należy naszym wydawnictwom poczytać za wielką zasługę, że podjęły się wydania dzieł autora „Zmartwychwstania“ w nowych przekładach. Z trzech powieści wielkiego formatu dotarły do czytelnika nowe spolszczenia „Wojny i pokoju“ oraz „Zmartwychwstania“. Teraz przychodzi kolej na „Annę Kareninę *), środkową część imponującego tryptyku, który odtwarza społeczne przemiany Rosji w dziewiętnastym stuleciu.

Od chwili gdy Tołstoj rozpoczął pracę nad „Anną Kareniną“ upływa bez mała osiemdziesiąt lat. Dnia 19 marca 1873 roku żona pisarza donosiła swojej siostrze w liście: „Wczoraj... zaczął on (Tołstoj — R. K.) pisać powieść z życia rodzinnego. Wątek powieści — niewierna żona i cały dramat z tego wynikający“. Relacja ta jest ścisła. Początkowo „Anna Karenina“ zamierzona była jako romans rodzinny, ale w toku pracy — podobnie jak to się zdarzyło z „Wojną i pokojem“ — rozszerzały się ramy dzieła. Pierwotny kształt okazał się za ciasny. Nie mógł objąć rozległego obrazu rzeczywistości rosyjskiej lat osiemdziesiątych, który wyłaniał się spod pióra autora. Tołstoj pisał tę powieść cztery i pół roku. Były to lata wytężonej pracy. Pisarz przerabiał „Annę Kareninę“ dwanaście razy, zmieniał kilkakrotnie jej konstrukcję, uzupełniał rysunek postaci, poszerzał problematykę społeczną. W utworze tym zajął stanowisko wobec najważniejszych zagadnień swojego czasu, a przedstawiały się one teraz odmiennie, aniżeli w dobie pisania „Wojny i pokoju“.

Oba okresy oddzielało tylko jedno dziesięciolecie, ale w ciągu tych lat wiele się zmieniło. Po roku 1861 kapitalizm wziął górę w Rosji. Tempo jego rozwoju, w porównaniu z krajami zachodniej i środkowej Europy, znacznie wzrosło. Chłopstwo zyskiwało sprzymierzeńca w walce wyzwoleńczej: proletariat fabryczny. Kapitalizm powodując nędzę mas ludowych godził również w feudalnych posiadaczy ziemskich — stary, patriarchalny ustrój społeczny walił się w gruzy.

Wszystkie te zjawiska społeczne znalazły odbicie w nowej powieści. W „Annie Kareninie“ widzimy Rosję z okresu bezpośrednio po reformie rolnej, kraj rozdarty groźnymi konfliktami klasowymi. Tu już dochodzi do głosu protest Tołstoja przeciw nowemu ustrojowi i jego niszczycielskiemu oddziaływaniu na stary porządek społeczny, ale zarazem pogłębia się uczucie rozczarowania do warstwy, która była podporą tego porządku — do arystokracji ziemskiej. W „Annie Kareninie“ rozpoczyna się, jak powiada Romain Rolland, „Wojna ze światem, który fałszuje wszystkie uczucia i nieuchronnie niweczy szlachetny zachwyt serca“. W powieści tej rozwiewają się nadzieje tak żywe w „Wojnie i pokoju“ i pryskają dawne złudzenia. O ile epopeja 1812 roku jest jeszcze apoteozą życia i wyrazem wiary w lepszą przyszłość, o tyle w „Annie Kareninie“ pada cień zwątpienia na losy jej bohaterów. Równowaga rodzinnej idylii ulega zachwianiu, pryska urok miłości, który jeszcze triumfuje w „Wojnie i pokoju“.



Lew Tołstoj

Przeżycia postaci „Anny Kareniny“ są fragmentem dramatu społecznego, którego głównym bohaterem był dla Tołstoja chłop rosyjski. Wokoło sprawy chłopskiej krążą myśli, idee i rozważania autora, mimo że centralne figury powieści należą do świata szlacheckiego. Sprawdzianem ich oceny — widać to na przykładzie Obłońskiego, Wrońskiego, a nade wszystko Lewina — jest ich stosunek do chłopa, z którym identyfikował się coraz bardziej hrabia z Jasnej Polany. W „Annie Kareninie“ Tołstoj patrzy na świat oczami buntującego się chłopa, przy czym spojrzenie jego zaciemniają, jak to wykazał Lenin, wszystkie błędy i kompromisy ruchu chłopskiego. Wszystkie sprzeczności rewolty chłopskiej, jej postępowe i reakcyjne cechy, które przejęła Tołstojowska koncepcja społeczno-moralna, tworzą ideową osnowę „Anny Kareniny“ i kształtują problematykę powieści. Ów fantastyczny splot nienawiści i pogardy do kapitalizmu, bezradności wobec zła i niesprawiedliwości, patriarchalnego utopizmu i ewangelicznej pokory widoczny jest już w ideowych założeniach „Anny Kareniny“, chociaż zarysowuje się jaskrawo dopiero w późniejszych utworach napisanych po duchowym przełomie Tołstoja.

Wyrazem nienawiści Tołstoja do kapitalizmu jest przede wszystkim postać Karenina, wyzbytego głębszych uczuć urzędnika carskiego. Różnica charakterów między tonącym w paragrafach i cyrkularzach czynownikiem a jego żoną, która góruje nad otoczeniem zaletami umysłu i serca, powoduje tragedię stanowiącą główny ośrodek fabuły. Pisarz widzi w mężu Anny typowy produkt miejskiego życia, przedstawiciela arystokracji, która porzuciła wieś i zdradziła dawny obyczaj szlachecki. Ostrość i obłuda biurokraty — wdzięk i szlachetność pięknej kobiety, oto kontrast, który niweczy długoletnie małżeństwo, zabija uczucie Anny i popycha ją do złamania uświęconych nakazów społecznych. Jej miłość do Wrońskiego skazuje ją na samotność, od której wiedzie droga do śmierci. Karenin inaczej przeżywa ten dramat: zdrada żony rani jego ambicję i godzi w jego reputację. Boli go przede wszystkim to, że staje się żerem plotek i obmowy znajomych, przeraża go skandal. Przełom w duszy Karenina następuje dopiero u łoża umierającej żony. Ale jego przebaczenie jest tylko przelotnym przebłyskiem człowieczeństwa. Nienawiść i fałsz niebawem biorą w nim górę nad odruchem serca.

Tołstoj potępia w mężu Kareniny przedstawiciela urzędniczej prawomyślności i kłamliwej kultury miejskiej. Ale nie tylko on ucieleśnia ducha nowych czasów. Złowrogie oddziaływanie kapitalizmu ilustruje także kochanek Anny, Wroński, a także Stiwa Obłoński. Książę Aleksy Wroński pod wpływem miłości do Anny porzuca karierę oficerską i próżniaczy żywot rozbawionego arystokraty. Zerwawszy ze swoim środowiskiem — niemało przyczynił się tutaj pogardliwy stosunek tego środowiska do Anny — zamyka się w swoich dobrach i przemienia w kapitalistycznego posiadacza ziemskiego, skłaniającego się ku liberalizmowi. Wstrząśnięty samobójstwem Anny, Wroński szuka w końcu śmierci i zgłasza się jako ochotnik do Armii Serbskiej. Tołstoj rozstaje się z nim jak z człowiekiem, który w zamęcie wydarzeń uległ rozczarowaniu i zwątpieniu. Dzieje Stiwy Obłońskiego kopiują natomiast los bankrutującej szlachty, która na skutek kapitalistycznych przemian porzuca wieś i przesiedla się do miasta, gdzie przejada — mówiąc językiem ekonomii — rentę gruntową. Stiwa Obłoński staje się utracjuszem, którego interesują jedynie kobiety, zabawy i libacje. Dosięga go wyrok wydany przez historię na jego klasę — ruina materialna.

Najbardziej wartościowy, zdaniem Tołstoja, odłam obszarnictwa, które w latach siedemdziesiątych zaczęło tracić grunt pod nogami, reprezentuje w „Annie Kareninie“ Lewin. Jego ustami przemawia z reguły sam autor. Lewin, podobnie jak Tołstoj, nienawidzi miasta i kapitalistycznej cywilizacji. Sprzeciwia się technicznemu postępowi i rozwojowi przemysłu, a cel swój widzi w patriarchalno-wiejskich formach życia, w pracy na roli i przyjaźni z chłopami. Lewin szuka takich form działalności, które by wzmocniły jego gospodarstwo i zarazem dały mu pełne zadowolenie moralne. Ale reformatorskie zapędy Lewina spotykają się z nieufnością wsi. To samo niedowierzanie czai się zresztą w duszy samego Lewina, którego wciąż niepokoi myśl, że tak czy inaczej wyzyskuje chłopów. Zagadnienie stosunku obszarnika do chłopa jest w gruncie rzeczy dla Lewina, podobnie jak i dla Tołstoja, nie tyle zagadnieniem społecznym, ile moralnym. „Dla mnie — zwierza się Lewin — najważniejsze jest uczucie, że nie jestem winny“. Po długiej ewolucji znajduje on spokojną przystań w zajęciach gospodarstkich i w rodzinnym zaciszu. Nowa wiara w konieczność moralnego samodoskonalenia się wyłania się u kresu jego drogi życiowej.

Droga to niełatwa i pełna zwodnych zasadzek. Lewin, który przeżywa kryzys moralny, typowy dla Tołstoja lat siedemdziesiątych, znajduje jeszcze azyl w życiu rodzinnym. Jego niepokój łagodzi chłopska prawda Fokanycza, który odgrywa w życiu Lewina taką samą rolę, jaką Płaton Karatajew odegrał w życiu Bezuchowa. Szczęście Lewina jest jednak ostatnim złudzeniem, któremu uległ Tołstoj. W późniejszych utworach autor „Wojny i pokoju“ nie podzieli optymizmu bohatera „Anny Kareniny“. Niechludow w „Zmartwychwstaniu“ nie łudzi się już nadzieją ucieczki na wieś i pogodzenia dobrobytu posiadacza ziemskiego z chłopską niedolą, nadzieją, którą jeszcze żywi Lewin.

W „Annie Kareninie“ dostrzegamy już pierwsze objawy głębokiej rozterki, która w przyszłości ogarnie pisarza. Do życia Lewina wkrada się niepokój, Wroński kapituluje, a dzieje bohaterki powieści kończą się tragicznie. Przed bohaterami Tołstoja zaczynają się wyłaniać dwie ostateczne możliwości: ucieczka lub kapitulacja. W utworze rysują się wyraźniej sprzeczności między ideowymi tezami autora i realistyczną wymową opisu, który zadaje kłam wysiłkom pozytywnych bohaterów. Zarazem precyzuje się ściślej Tołstojowska doktryna „niesprzeciwiania się złu“ i indywidualnego samodoskonalenia się jednostki, czego świadectwem są losy Lewina i dramat Kareniny. Tołstoj doprowadza Annę do upadku nie z tego powodu, że zbuntowała się przeciw fałszowi szlacheckiego środowiska, lecz dlatego, że odważyła się zniszczyć rodzinę, że sprzeciwiła się złu, zadając ból mężowi. Karze ją, ponieważ nie zdobyła się na akt wyrzeczenia się i nie chciała w imię pokory chrześcijańskiej znosić swojej niewoli.

„Anna Karenina“ ujęta jest w zwarty kształt prozy. Elementy epickie ustępują tutaj miejsca motywom ściśle powieściowym, fabuła koncentruje się na mniejszej — w porównaniu z „Wojną i pokojem“ — ilości wątków. Główny sprawdzian, według którego Tołstoj ocenia swoich bohaterów (ich stosunek do chłopstwa), kształtuje również artystyczną więź powieści i decyduje o rysunku postaci. Z jednolitej kanwy społecznej — jest nią stosunek obszarniczego wyzyskiwacza do wyzyskiwanego chłopa — autor wysnuwa wielość postaci i epizodów, nader kunsztownie zestrojonych. Ludzkie zbiorowisko jest w „Annie Kareninie“ wyraźnie zróżniczkowane, w zależności od tego, czy idzie o drobnego lub wielkiego posiadacza ziemskiego, tradycyjnego lub nowoczesnego obszarnika, właściciela majątku prowadzącego osobiście swoją gospodarkę czy zamieszkałego w mieście, ministerialnego lub pośledniejszego urzędnika itd. Osobliwość sytuacji każdej z tych figur objawia się w przeżyciach najbardziej od stosunków wyzysku odległych, w doznaniach luźno z podbudową społeczną związanych, w sposobie wyrażania najintymniejszych myśli. Te same przyczyny społeczne, w zależności od charakteru, wychowania, otoczenia danej postaci, odmiennie wpływają na jej losy. Geniusz Tołstoja potrafi z jednej i tej samej więzi społecznej wysnuć niezwykłą rozmaitość przeżyć, charakterów i epizodów, uzyskać ogromne bogactwo odcieni psychologicznych. Potrafi powiązać najsubtelniejsze odruchy serca z zasadniczymi konfliktami i sprzecznościami epoki.

Spójrzmy dla przykładu na metodę twórczą, którą autor posługuje się przy szkicowaniu portretu Anny Kareniny, jednej z najpiękniejszych postaci kobiecych w literaturze światowej. Tutaj za każdym motywem psychologicznym kryje się pewna treść społeczna. Przeżycia Anny są ustawiczną walką sprzeczności. Karenina boleśnie odczuwa wyrok potępienia wydany na nią przez arystokratyczne salony i zarazem osądza ostro zakłamanie i nikczemność tego środowiska. Jest rozumną i myślącą kobietą, ale trudno jej wyrzec się blichtru salonów. Anna zdaje sobie sprawę, że jej tragedia jest przejawem dramatu społecznego. W tej czarującej kobiecie uroda życia i jego tragizm tworzą doskonałą jedność, na którą może zdobyć się tylko genialny mistrz portretu.

W „Annie Kareninie“ Tołstoj nie zrywa jeszcze ze swoją klasą, ale więzy łączące go z arystokracją rosyjską znacznie się rozluźniają. Realistyczny kunszt opisowy Tołstoja kreśli tutaj imponujący fresk Rosji z pogranicza dwóch epok. Siła oskarżenia przeciw burżuazji rosyjskiej jest tak potężna, że kruszy ona, wbrew intencjom autora, jego własną koncepcję „niesprzeciwiania się złu“, zadając kłam Tołstojowskiej filozofii bierności. Nie reformator społeczny, lecz wielki realista i wstrząśnięty niedolą ludu pisarz zapewnił tej powieści jedno z pierwszych miejsc w dziejach światowej prozy.

Przekład Kazimiery Iłłakowiczówny posiada dwie zalety, które rzucają się w oczy przy porównaniu obu tekstów: jest bardzo wierny oryginałowi, a polszczyzna jego nieskazitelna. Słowo „wierny oryginałowi“ stosuję tutaj w jak najszerszym znaczeniu, a więc w sensie filologicznym, stylistycznym i pojęciowym. Tłumaczka zachowała wszelkie właściwości — a jest to sztuka nie lada — form artystycznych Tołstoja, jego prostej i bezpośredniej a jakże trudnej do odtworzenia metody narracyjnej. Tołstoj posługuje się chętnie długimi okresami, puszcza wodze swobodnej (niekiedy pozornie niedbałej) gawędzie, a przy tym zdania są starannie oszlifowane, choć niewymuszone i niewymuskane. Tutaj piętrzą się dla tłumacza zasadzki na każdym kroku. Przekład Iłłakowiczówny sprostał tym trudnościom, zachował „klimat“ oryginału, dając mu klarowną, piękną oprawę stylistyczną i językową. Obok tłumaczenia Wacława Rogowicza („Zmartwychwstanie“) jest to niewątpliwie jeden z najlepszych przekładów powieściowej prozy Tołstoja.

Roman Karst

*) Lew Tołstoj, „Anna Karenina“. T. I i II. Przekład Kazimiery Iłłakowiczówny. P. I. W., Warszawa 1952.

Przegląd prasy zagranicznej

Latające talerze

„Nie umiem wyjaśnić pochodzenia latających talerzy, mimo że istnienie ich wydaje się faktem. Nie to jest przecież najciekawsze, ale umysłowość dzisiejszego społeczeństwa amerykańskiego, odsłaniająca się z okazji owego zjawiska na niebie“ — pisze komentator francuski (J. Herve).

Afera latających talerzy ciągnie się sześć lat. Jest już w niej wszystko: rzeczywiste obserwacje naukowe, obok tego mistyfikacje, reklama wykorzystująca okazję, wypadki tragiczne (śmierć pilota Mantella, który gonił zjawisko na swoim samolocie), interwencje mężów stanu (Trumana, ministra wojny Johnsona, wreszcie Gromyki). Po dwóch latach pracy komisja Ministerstwa Lotnictwa, złożona z piętnastu specjalistów, z udziałem dr Liddela, laureata Nobla, ogłosiła wyczerpujące sprawozdanie z 228 skontrolowanych obserwacji; orzeczenie ostateczne brzmi: „Począwszy od czerwca 1947 roku w różnych miejscowościach Afryki, Europy, oraz w południowych stanach USA, stwierdzono istnienie ciał kolistych, przesuwających się na znacznej wysokości z szybkością dochodzącą do 1000 km na godzinę. Nie są to meteoryty ani inne ciała naturalne lecz mechanizmy, czego dowodzą wiarogodne dokumenty fotograficzne. Ciała te jednak nie mogą pochodzić z żadnej stacji emisyjnej, znajdującej się na ziemi“.

Najwięcej danych dostarczyły stacje meteorologiczne i obserwatoria lotnicze. Ale są też zeznania osób, które widziały zjawisko przypadkowo — np. mieszkańcy małej kolonii w stanie Texas, opisujący przelot całego „klucza“ latających talerzy o zmroku nad ich miejscowością. Są tu humorystyczne mistyfikacje, np. dwaj chłopcy ze stanu Ohio — ci widzieli talerz metalowy wielkości 2 m, który „usiadł“ koło nich na trawie, gdy zaś jeden z nich dotknął go ręką, talerz uniósł się z warkotem. Trzej farmerzy z Nowego Texasu dodali zdumiewające szczegóły do wiedzy o latających talerzach, i byli przez tydzień sensacją Ameryki, dopóki żona jednego z nich, po kłótni domowej, nie ujawniła, że „takie były u nich nudy, że chcieli się zabawić“. Na przedmieściach Richmondu każdego ranka znajdowano wielkie lśniące cylindry zę sterem pokrytym czarną farbą, wykonane z płyty aluminiowej przez pewnego niewczesnego kawalarza, właściciela zakładu blacharskiego.

Są wreszcie meldunki złożone z dobrą wiarą, ale oparte na pomyłce. Sierżant Bathmeier przedstawił zadziwiającą fotografię — szereg świetlistych przedmiotów unoszących się „z błyskawiczną szybkością“, jak zapewnił. Analiza negatywu wykazała, że były to płachty papieru, porwane z sąsiedniej fabryki przez potężny wiatr „tornado“. Nad 7-th avenue w N. Jorku zjawia się co 3 minuty olbrzymi krąg świetlisty, na którym wkrótce dostrzegamy napis: „Nawet latający talerz nie będzie dla ciebie groźny, jeśli pokrzepisz się kawą MALTE“.

Rozdział „serio“ w historii latających talerzy rozpoczyna się meldunkiem z dn. 24 czerwca 1947 roku, ze stacji meteorologicznych na płd.-zach. wybrzeżu Ameryki. Od tej chwili każdy tydzień przynosi nowe fakty, początkowo przyjmowane bez specjalnego zainteresowania. Rozgłos nadaje im dopiero pani Eleanor Roosevelt, żona zmarłego prezydenta, na której życzenie dwaj lotnicy, kpt. Jack Adams i płk G. W. Anderson, opowiadają przed mikrofonem telewizji, jak wyglądał talerz latający napotkany przez nich nad Arkansasem. „Ci dwaj doświadczeni piloci nie mogli się pomylić, ich sprawozdanie, oraz dokonane przez nich zdjęcie przekonało mnie i specjalistów“ — stwierdza pani Roosevelt, która dotychczas odnosiła się sceptycznie do afery. Jak dotąd, nikt nie widział latającego talerza bliżej od tych dwóch lotników (z odległości 1,5 km). Według ich relacji, był to wielki krąg metalowy, podobny do kapelusza chińskiego, z oślepiającym światłem w w centrum i z drobnymi błyskami na okręgu koła, przesuwający się z szybkością znacznie większą niż ich samolot. Dokumentem kluczowym, o wiarogodności stwierdzonej przez naukowców, staje się cykl tzw. „Lubbock photographs“ (Zdjęcia dokonane w Lubbock, stan Texas, 30 września 1951), przedstawiające sznur kół świetlistych, sunących po niebie o zmroku („analiza mikroskopijna ziarna negatywu wykazuje — stwierdza komisja — że nie jest to fenomen przyrody, ale maszyny, rozporządzające własnym źródłem światła“).

Ale prawdziwą panikę wywołuje dopiero śmierć kpt. Mantella, w Kentucky, który na swoim samolocie ścigał latający talerz. „Wznoszę się na wysokość 6.000 m — jeśli tak dalej pójdzie, będę musiał zaniechać pościgu“ — taki był jego ostatni meldunek radiowy. Zwłoki lotnika znaleziono następnie wśród resztek samolotu, rozrzuconych na przestrzeni kilometra. Zaniepokojenie opinii wzrosło do tego stopnia, że sekretarz stanu i minister wojny, Johnson, wygłosił oświadczenie publiczne: „Nie ma powodu do przypuszczeń, że zjawiska powietrzne określone jako „latające talerze“ są narzędziami obcego mocarstwa, nic też nie dowodzi jakoby stanowiły jasne i bezpośrednie zagrożenie dla USA lub ich obywateli“. W tydzień potem prezydent Truman zabiera głos w tym samym sensie, ale podkreśla też, że „latające talerze“ nie są, jak przypuszcza część prasy, amerykańskim eksperymentem nad nową bronią“. „Człowiek, który polecił rzucić bombę atomową, i zapowiedział konstrukcję bomby wodorowej, nie okłamywałby swoich obywateli“ — komentuje słowa prezydenta znany dziennikarz Wincnell. Niemniej przedstawiciel „Life'u“, uważając zapewnienie Trumana za „niewystarczające“, zwrócił się z oficjalnym pytaniem do Gordon Deana, sekretarza „Komisji Energii Atomowej“; oto odpowiedź: „Żadna z placówek przedsięwziętych przez nasze laboratoria, nie wyjaśnia sekretu latających talerzy, nie znam też nic, co by mogło go wyjaśnić“.

Niezmiernie charakterystyczne jest oświadczenie wspomnianej już komisji Ministerstwa Lotnictwa. „Nie można jeszcze określić, co to są latające talerze, ale można z całą pewnością stwierdzić, czym one **nie są**. 1) Nie są zjawiskiem psychologicznym, tj. halucynacją zbiorową, lub sugestią wynikłą z paniki, 2) nie są rezultatem amerykańskich eksperymentów technicznych, lotniczych lub zbrojeniowych, tym więcej, że stwierdzono je w Europie i Afryce. 3) nie są podobnymi doświadczeniami rosyjskimi, gdyż jest nie do pomyślenia, by uczeni rosyjscy ryzykowali upadek podobnego pocisku na terytorium USA, co by wykryło ich tajemnicę (nawiasem mówiąc **ani razu**, wśród przeszło pięciuset wypadków zaobserwowanych komisyjnie, nie stwierdzono upadku latającego talerza na ziemię, ani nawet jego tendencji do zniżania się). 4) nie są zjawiskiem atmosferycznym, wynikłym z innych doświadczeń atomowych — jak przez pewien czas przypuszczano, 5) nie pochodzą z Marsa ani Wenus, ponieważ nauka najnowsza stwierdziła brak życia na tych planetach — co najwyżej możliwa jest tam obecność prymitywnych form mchu; gdyby zaś mechanizmy owe, które z pewnością nie są zjawiskiem przyrody, miały być wysłane ze wszechświata przez istoty żyjące, musiałyby lecieć do nas przeszło 80 lat, i to z szybkością światła (300 000 km na sekundę), założywszy, że pochodzą z najbliższego systemu słonecznego, tj. układu wokół gwiazdy Wolf 359. Dr Walter Riedel, **naczelny inżynier laboratorium rakietowego niemieckiego w Peenemünde, obecnie zaangażowany do potajemnych prac wojskowych w USA** (tekst podkreślony pochodzi dosłownie z „Life“, z 5 maja 1952), **członek komisji ministerialnej**, stwierdza: „Po trwających rok badaniach, doszedłem do absolutnego przekonania, że talerze latające pochodzą z bazy poza naszą ziemią“.

Tajemnica latających talerzy nie ma dużego znaczenia; może to być monumentalna mistyfikacja, zmontowana dla celów propagandowych, lub dla odwrócenia uwagi społecznej; mogą to też być rzeczywiste zjawiska z nieznanych nam jeszcze dziedzin wszechświata. Afera ta jednak przeszła do historii; jest jednym z najgłośniejszych „wężów morskich“ nie tylko lat powojennych, ale XX-go stulecia, i należy już do dziejów opinii na Zachodzie. Dla nas jest ciekawa jako dokument obsesji trapiących Nowy Świat. Kolejne punkty „uspokajającego“ raportu Komisji Lotnictwa uzmysławiają nam, jeden po drugim, co zaprząta umysł obywateli USA i co jest tam źródłem neurastenicznego lęku: 1) manie psychologiczne, halucynacje, paniki, 2) najazd Marsjan, Wenusjan, lub równie fantastycznych „Rosjan“. 3) piszczące rezultaty nowoczesnych doświadczeń technicznych, atomowych i innych, zagrażające własnym ich wynalazcom, itd. itd.

„Amerykanin czuje się niepewnie na swojej ziemi, i w ogóle na tej ziemi“ — pisał już Emerson — „dlatego wpada z jednej krańcowości w drugą, z brutalnej pychy w mistyczną obawę wobec sił zaświatowych“. Filozofia burżuazyjna nie daje mu racjonalistycznego klucza do zrozumienia świata. Korespondent „Humanité“ zwraca uwagę na fakt osobliwy, że „latające talerze“ nie pojawiają się w Związku Radzieckim i krajach ludowych. „Jeśliby się nawet pojawiły, zainteresują się nimi wyspecjalizowani badacze, nie ulliczni histerycy; mieszkańców Moskwy nie zdołało wytrącić z równowagi zjawisko znacznie konkretniejsze od latających talerzy, to jest 80 hitlerowskich dywizji pancernych“.

Hervé zwraca uwagę na zachowanie się uczestników „talerzowej komedii“ — nawet gdy opisują oni konkretne fakty, jakie się z pewnością zdarzyły, robią to za pomocą słów, gestów i stanów psychicznych, wzorowanych na romansach o przygodach międzyplanetarnych w stylu Wellsa, Bunchella czy Rider Haggarda. Nawet śmierć Mantella wydaje się wystylizowana w tym gatunku; był najbliższy wyjaśnienia zagadki, musiał więc unieść ją do grobu, w tajemniczych okolicznościach. Czyż nie w podobny sposób popełniali samobójstwa młodzieńcy romantyczni, na wzór Wertera?

Przedstawiciele prasy francuskiej zwrócili się do radzieckiego delegata w ONZ, Gromyki, z zapytaniem, co o tym sądzi. „Nie wiem nic pewnego, ale podejrzewałbym Anglików, jako współtwórców latających talerzy: wywożą zbyt dużo whisky do USA. A może to jakiś lekkoatleta radziecki, który ćwiczy się na Olimpiadę (było to przed Helsinkami), i nie zdając sobie sprawy ze swych sił, rzuca dysk zbyt wysoko?“

Z. Kl.

Książki

Wiejskie przemiany

Zdzisław Kubalski: „Świt“. Czytelnik, 1952, str. 190

„Świt“ — Zdzisława Kubalskiego jest powieścią o tematyce wiejskiej. Autor postawił sobie zadanie dość trudne: w niewielkiej książce (190 stron) ukazuje przemiany, jakie dokonały się we wsi Zakrzówek. Początek powieści daje obraz odciętej od świata, zahukanej, opanowanej całkowicie przez ruchliwego kułaka, wsi, na ostatnich jej kartkach czytamy opis zakładania spółdzielni produkcyjnej w Zakrzówku. Autor stara się ukazać drogi, jakimi partia (w osobie jedynego we wsi jej przedstawiciela kowala Kosiorka) oraz nieliczna i słaba organizacja ZMP-owska wyrywają rodziny biednych chłopów spod wpływów kułaka Grzelaka, i jak stopniowo przekonują chłopów o wyższości gospodarki zespołowej nad indywidualną.

Taki jest zasadniczy zrąb treściowy powieści. W założeniu swym słuszny i zgodny z kierunkiem rozwoju wsi polskiej. Jak wypadła artystyczna realizacja tych tematycznych założeń?

Oto wątek miłosny wiele miejsca zajmujący w powieści i dość silnie związany z przemianami społecznymi, dokonywającymi się na wsi. Józef Pajdziak, aktywista ZMP-owski, po powrocie z wojska zakochał się w córce wyrobnicy, Jadzce Rodziance, którą już poprzednio był sobie upatrzył na żonę syn bogatej chłopki, Bronek Przedlacki. Bronek jest również ZMP-owcem, ale równocześnie wysługuje się kułakom informując ich o wszelkich poczynaniach ZMP na wsi. Tak więc dwaj rywale w miłości są równocześnie przeciwnikami politycznymi. Jadzka wybiera Józka oceniając zalety jego charakteru i wartości moralne. Józek, wyjeżdża do miasta na dalszą naukę, Bronek zaś, podziwiając szlachetność charakteru Józka i Jadźki, oraz widząc, że kułacy będą spychali go w coraz większe upodlenie, zrywa na zebraniu ZMP ze swą dotychczasową praktyką dwulicowca, odsłaniając cały mechanizm kułackich knowań. Po pewnym czasie Bronek odzyskuje z powrotem zaufanie i sympatię Jadźki, a Józek dowiedziawszy się o tym w mieście szybko się pociesza nawiązując głębsze nici przyjaźni ze swą koleżanką szkolną.

Co w tym wątku jest łatwizną i uproszczeniem? Po pierwsze brak wystarczającego uzasadnienia dla gwałtownego obniżenia się uczuć miłosnych Józka i po wtóre niesłuszna w swym uogólnieniu dążność autora do natychmiastowego wynagrodzenia Bronka za zajętą przez niego słuszną postawę polityczną. Niewątpliwie miłość wiąże się w jakiś sposób z polityką. Ale rzeczą pisarza jest ukazanie całej złożoności tych więzów.

Jeszcze większym uproszczeniem są przedstawione w powieści losy Wojdyny, parobka Grzelaka. Wojdyna jest we wsi postacią niemal mityczną. Mało kto go widział, nikt z nim nie rozmawiał. Dzieje się tak dlatego, że sprytny Grzelak w obawie, aby kontakty ZMP-owców z Wojdyną nie pozbawiły go parobka, rozpuścił po wsi opinię, jakoby Wojdyna był niespełna rozumu i w dodatku był zarażony jakąś chorobą. Z drugiej strony jednak wiemy, że Wojdyna to chłopak rozgarnięty. Prowadził pamiętnik, w którym dość trafnie oceniał postępowanie Grzelaka, w tajemnicy przed gospodarzem wypożyczał od Jadzki książki do czytania, on wreszcie był autorem bezimiennych notatek demaskujących nadużycia Grzelaka, które ZMP-owcy znajdowali od czasu do czasu w korespondencji do Gazetki Ściennej. Taka koncepcja postaci Wojdyny (który jest dla centralnego konfliktu powieściowego postacią decydującą) — nie jest konsekwentna. W obu wypadkach mamy to samo nieliczenie się z artystyczną motywacją opisywanych w powieści wydarzeń. Kubalski słusznie wszystkie wątki i postacie buduje pod kątem potrzeb całości fabuły powieściowej, ale zaprzątnięty tą sprawą zdaje się zapominać, iż pisarz musi się liczyć z charakterem, sposobem myślenia i bycia postaci, które sam stworzył.

Warto również zwrócić uwagę autora na sprawę języka. Mniejsza o to, że język narracji jest jakiś urzędowo-dziennikarski, suchy, mało wynalazczy. Najbardziej nieprzemyślany, nierealistyczny jest język bohaterów chłopów z Zakrzówka. Poza kilku gwarowymi wyrażeniami nie różni się on od literackiego języka autora, nie jest zindywidualizowany. Grzelak mówi tak samo jak Pajdzina, Pajdzina, która nie wytykała nosa poza swą wieś, mówi tak samo jak jej dorosły syn, chłopak po wojsku i aktywista ZMP. A przecież język bohatera to równocześnie jego pogląd na świat, jego wykształcenie, charakter, cała przeszłość. Pisarz powinien starać się pokazać całe bogactwo, celność i elastyczność mowy ludowej — trzeba ją cenić jako ważny element realistycznego kształtowania bohaterów z ludu.

Można zgłaszać także pretensje do kompozycji powieści. Szwankuje zwłaszcza wprowadzenie, w którym autor umieścił wszystko, co wiedział o swych głównych bohaterach i przez to rozładował dynamizm zawarty w temacie, obniżając zaciekawienie czytelnika.

Powieść posiada wiele istotnych błędów i potknięć, ale posiada także swoje niewątpliwe zalety. Tak na przykład całkiem niebanalne jest „szołochowskie“ zakończenie powieści: wprawdzie kułak Grzelak został już kilkakrotnie zdemaskowany i skompromitowany w oczach chłopów, został właściwie całkowicie pozbawiony swych wpływów na wsi, ale mimo wszystko zostawiamy go na ostatniej kartce książki przygotowującego nowe, wcale nie błahe intrygi. Wiemy, że Grzelak jeszcze długo będzie mącił życie spółdzielni, że jeszcze nieraz stanie na drodze jej rozwoju — ale wiemy także, że poniósł on już zasadniczą porażkę i że wszystkie jego dalsze intrygi prędzej czy później obrócą się przeciw niemu samemu. Odsuwa więc pisarz niejako dalszy rozwój akcji poza ramy swej powieści — ale określa zasadniczy kierunek tego rozwoju.

Sumując: potknięcia i błędy są trudnościami debiutu — wypływają z niedostatku życiowego i pisarskiego doświadczenia młodego autora. Dadzą się one wyeliminować z dalszej twórczości Kubalskiego, jeżeli będzie się starał on pogłębiać swą wiedzę o ludziach i udoskonalać swój pisarski styl.

Stanisław Mędelski

Autobiografia ale nie pamiętnik

Gilette Ziegler: „Helena Wetterlé“, „Czytelnik“, 1952.

„Helena Wetterlé“ — to jeszcze jedno źródło — i dodajmy na samym wstępie, że cenne, bo o charakterze dokumentarnym — poznania przyczyn błyskawicznego zwycięstwa, które Hitler odniósł nad Francją w pierwszej fazie drugiej wojny światowej. Motto książki — wzięte z pism Vaillant-Couturier — dobrze tłumaczy czytelnikowi drogę rozwoju politycznego, przebytą zarówno przez autorkę, jak i bohaterkę — postać tytułową powieści: od Francuskiej Partii Społecznej do KPF.

Mimo że „Helena Wetterlé“, to powieść autobiograficzna, nie ma ona zewnętrznych cech pamiętnika. Jednak na stylu Gilette Ziegler wycisnęła pewne piętno maniera dziennikarska. Poszukiwaczy „rodzynek“ spotka zawód, książka nie daje bowiem głębszych wzruszeń

Książki

estetycznych, tu i ówdzie razi deklaratywność i brak momentu epickiego: mimo to książkę czyta się dobrze, z dużym zainteresowaniem i ciekawością: co dalej?

Intelektualista na froncie

Mate Zalka. „Doberdo". Tłum. Anna Jakubiszyn. Wydawnictwo MON 1951

Zdenerwowałam się nie na żarty: rozpocząwszy lekturę „Doberdo", aż... ale o tym parę wierszy dalej. Nie opuszczała mnie myśl: „po co po doświadczeniach drugiej wojny światowej ukazywać nam raz jeszcze pierwszą wojnę? Nie takieśmy przecież rzeczy widzieli na własne oczy i odczuli na własnej skórze!" Akcja książki (napisanej w r. 1935-36) toczy się na froncie włoskim, głównym bohaterem jest intelektualista: filolog z wykształcenia i pedagog z zawodu. Wiadomo — zdawało mi się z początku — jak taki liberał, wiedzący przedtem o życiu tyle, ile mu swymi ciasnymi konturami zakreślała jego mieszczańska egzystencja, odczuje grozę wojny. Co najwyżej zostanie pacyfistą. Czy może nas jeszcze po doświadczeniach 1939-45 wzruszyć taka historia? W dodatku dobrze co prawda ukazane stosunki panujące w cesarsko-królewskiej armii austro-węgierskiej zdawały się trącać myszką. Wątek miłosny — owszem, dobry, ale...

A jednak! Mate Zalka poszedł dalej, niż swego czasu Remarque. Jego bohater w ciągu swego przebywania na froncie zmienia się szybko, dojrzewa. Już druga konferencja zimmerwaldzka każe mu „organizować legiony przyjaciół i towarzyszy, którzy zwrócą lufy karabinów przeciw tym, którzy zmuszają ich do walki". Zamyka się książkę z uczuciem satysfakcji.

Niestety, wydawnictwo MON zaniechało tym razem pięknego zwyczaju, który gdzie indziej przyjął się już jako powszechnie stosowana praktyka: nie zaopatrzyło książki w najkrótszy bodaj wstęp, który pozwoliłby czytelnikowi dowiedzieć się, kim jest Mate Zalka i jaką pozycję zajmuje w literaturze węgierskiej. Kierując się „fonetycznym węchem" można przecież przypuszczać, że autorem jest Hiszpan, zwłaszcza w zestawieniu z tytułem „Doberdo". Dopiero podczas lektury dowiadujemy się, że Doberdo jest nazwą niewielkiej słoweńskiej wioski na północny zachód od półwyspu Istria, a nie, dajmy na to, miasteczkiem hiszpańskim. Nawet na wewnętrznej stronie okładki nie podano, z jakiego języka książka została przetłumaczona. Fakt, że „Janosz Żołnierz", wydany w roku ubiegłym zaopatrzony jest w notatkę informacyjną o autorze (urodz. 23 IV 96, poległ 12.VI.37 jako dowódca drugiej Międzynarodowej Brygady „Hiszpania") nie zwalnia bynajmniej wydawnictwa od obowiązku starannego wydania drugiego tomu tegoż autora.

Książka wydana jest po prostu niechlujnie. Całe strony tak źle odbito, że człowiek o orlim nawet wzroku musi posłużyć się szkłem optycznym (Np. str. 19). A z ortografią redaktorzy i korektorzy są mocno na bakier. „Piechur" piszą przez „ó" (str. 26, 11 wiersz od dołu). Czyżby to zwykły chochlik drukarski?

Krystyna Nowakowska

U PRZYJACIÓŁ

DOM PRZY SZKOLE

Kiedy jeździłam po spółdzielniach produkcyjnych w poznańskiem, zdarzyło mi się parokrotnie rozmawiać z nauczycielami. Patrzyłam na ich wyczerpującą, trudną pracę, która wcale nie kończyła się po 7 godzinach nauczania. Nauczyciel po południu przygotowuje się do lekcji na dzień następny, wieczory spędza w świetlicy, gdzie prowadzi pracę kulturalno-oświatową. Oczywiście rozmowy moje były dorywcze, obracały się wokół spraw zawodowych, dla nauczyciela z powołania jest to temat bogaty i niewyczerpany. Z rozmów tych z trudem przeglądało jego życie prywatne, jego „bytowe" troski, o których często mówić nie chciał, bo w jego mniemaniu znajdowały się trochę na uboczu od pracy pedagoga i społecznika.

Ale, jak wiadomo, każdy poza działalnością zawodową musi jeść, prać, cerować, mieć własny kąt, posłuchać radia, mieć chwilę na czytanie i myślenie.

Nauczyciel często nie ma warunków do tego wszystkiego. Pracuje wieczorami, mieszkając kątem w chacie spółdzielcy, przy akompaniamencie rozmów i płaczu nie chcących usnąć dzieci. Radio jest przeważnie jeszcze sennym — bo przed zaśnięciem — marzeniem: „Żeby tak móc posłuchać koncertu z Warszawy..." Tymczasem tylko wiatr gra w drzewach nad chatą, a ujadanie znudzonych psów zastępuje wiadomości z dalekiego świata. W rzadkich chwilach oderwania się od pracy zawodowej, na przykład podczas godzinnej przerwy obiadowej, lub o zmierzchu, kiedy za chwilę ma nadejść młodzież do świetlicy, szarpią nauczycielem różne przyziemne, ale dokuczliwe pytania: „Co zrobić z kupą brudnych koszul? Kiedy pocerować skarpetki, z których wyglądają palce i pięta? Co będzie z opałem na zimę, albo, kiedy wykupić kartki żywnościowe w najbliższym miasteczku? Jarzyny są zdrowe (trzeba je jeszcze dziś jej podlać), młode kartofle smaczne, ale chciałoby się po kilku tygodniach zjeść porządny kotlet. Zresztą mówią znów o jakichś zmianach z tymi kartkami. Kiedy pojechać do powiatu, dowiedzieć się i wykłócić o swoje prawa? Urzędnicy wymyślają znów coś nowego, żebyśmy czasem nie zapomnieli, że istnieją po to, aby ułatwić nam życie". Nauczyciel myśli w tych krótkich chwilach o tym wszystkim, ale później oblegają go dzieci, albo zaczyna się próba chóru, więc z grubsza zapomina, tylko gdzieś w kącie głowy zostaje mu niejasny niepokój o jego dzień powszedni.

Sprawa dnia powszedniego w o ileż szczęśliwszych warunkach pracującego nauczyciela radzieckiego zainteresowała grupę pisarzy radzieckich w osobach A. Aleksina, F. Wigdorowej, I. Dika, J. Sotnika i J. Jakowlewa, którzy wyjechali do obwodu riazańskiego i tam na miejscu, jeżdżąc kolejno po rejonach, konkretnie notowali warunki, w jakich żyją i pracują nauczyciele wiejscy.

Wiadomo, jaką rolę społeczną spełnia nauczyciel na wsi. Wiadomo, że wychowując młode pokolenie narodu decydować może o jego obliczu moralnym i politycznym. Swoją miłością dla pracy i dzieci sobie powierzonych sprawia, że charaktery jego myślą kształtowane stają się bezcenną wartością, największą zdobyczą państwa socjalistycznego.

Wysoko ceniona praca nauczyciela wiejskiego przez instytucje centralne i obwodowe napotyka nieraz na przeszkody w organach wykonawczych, z którymi nauczyciel bezpośrednio zetknąć się musi. Pisarze radzieccy po ukończeniu objazdu opublikowali w „Literaturnej Gazecie" dwa artykuły w odstępie półrocznym pod wspólnym tytułem „Dom koło szkoły". Chodzi o dom, który stoi koło szkoły, dom, w którym mieszka nauczyciel. Nie zawsze taki dom zresztą istnieje, nauczyciel często mieszka kątem w domu chłopskim. Czasem w domu tym jest w zimie chłodno, bo kierownictwo kołchozu z lekceważeniem odnosi się do warunków życia nauczyciela. Czasem brak światła w długie wieczory zimowe uniemożliwia mu pracę pedagogiczną i pogłębianie własnych wiadomości.

A przecież Michał Iwanowicz Kalinin stwierdziwszy, że „nauczyciel oddaje całą swą energię, krew, wszystko, co ma w sobie cennego swoim uczniom i narodowi" — dodał: „Ale towarzysze, jeżeli dziś, jutro, pojutrze, oddacie wszystko co posiadacie, a nie będziecie jednocześnie na nowo i bezustannie uzupełniać swoich wiadomości, sił, energii, to w końcu nic w was nie zostanie. Nauczyciel z jednej strony oddaje, a z drugiej jak gąbka wchłania w sobie, bierze wszystko co najlepsze z narodu, życia, nauki i to najlepsze znów oddaje dzieciom".

Dlatego nauczyciel musi mieć warunki do pracy, musi mieć własne mieszkanie, w zimie powinno być u niego ciepło i jasno, powinien być zwolniony od codziennych trosk, obniżających jego energię i wydajność. Dlatego grupa pisarzy radzieckich wyruszyła w teren, nie zawahała się poruszyć zagadnienia w centralnej gazecie literackiej. Pisarze ci — piszący przeważnie dla dzieci — wyjechali, aby na miejscu zbadać, jak nauczyciel żyje i pracuje, jaki jest stosunek władz miejscowych do niego. Znaleziono niedociągnięcia i w swym odważnym artykule pisarze ukazali je w ostrym świetle krytyki, żądając od czynników decydujących natychmiastowej interwencji. Pierwszy z wymienionych artykułów jest przykładem krytyki partyjnej. Jest konkretny, wymienia się w nim nie tylko nazwiska nauczycieli i nazwy wsi, w których pracują. Wymienia się po nazwisku też czynniki oddolne, które dyrektywy Partii i Państwa nieraz interpretują dość dowolnie, powołując się wygodnie na „przyczyny obiektywne". Ale w artykule mówi się wyraźnie, że nie ma „przyczyn obiektywnych", jeżeli jest dobra wola, jeżeli kierownictwo miejscowe naprawdę chce przyjść z pomocą nauczycielowi. Cytuje się liczne miejscowości, gdzie nauczyciel już we wrześniu ma zwieziony opał na całą zimę, ma porządny dom, w którym czuje się u siebie. I chociaż wypadki troskliwego stosunku do nauczyciela przerastają wielokrotnie objawy oddolnej małoduszności i biurokracji, to jednak „Literaturnaja Gazeta" te właśnie niedociągnięcia podkreśla, zwracając się bezpośrednio do Ministerstwa Oświaty i Rady Ministrów RSFSR.

Sprawa podniesiona przez pisarzy nie minęła bez echa. Pół roku później — 19 sierpnia 1952 r. — gazeta drukuje artykuł o wynikach akcji. Rzetelna, partyjna krytyka pomogła. Rejony Riazańskiego Obwodu, gdzie dostrzeżono usterki, nadesłały raporty do obwodowego wydziału oświaty o wykonaniu planu budowy domów dla nauczycieli, zaopatrzeniu ich w opał i pomoce szkolne. W wielu rejonach plan ten przekroczono, budując nie 10 a 13, nie 4 a 6 domów. Wszystkie starano się wykończyć przed początkiem roku szkolnego. „Literaturnaja Gazeta" pisze, że w wielu rejonach władze kołchozowe postanowiły nie uważać szkoły za przygotowaną do nowego roku szkolnego, jeżeli mieszkanie nauczyciela nie będzie gotowe. Sesje Rejonowych Komitetów Wykonawczych poświęciły tej sprawie specjalną uwagę. Powzięto wiele przemyślanych decyzji. W kilku wsiach powstały komisje, które zajęły się przygotowaniem szkoły do nowego roku nauczycielskiego. Komisje te pomogły nauczycielom w uregulowaniu jego codziennych, „bytowych" trosk. Obwód riazański zameldował z dumą: „Trzeba było w ciągu miesiąca wybudować 56 domów dla nauczycieli — a wybudowaliśmy 62". Jakże uzasadniona i pouczająca jest taka duma. W niektórych rejonach zelektryfikowano wszystkie mieszkania nauczycieli.

Sprawa nauczyciela jest w Związku Radzieckim wspólną troską wszystkich obywateli. W niedzielę często mieszkańcy dobrowolnie pomagają przy budowie szkoły i domu dla niego. Odpowiedzialni pracownicy rejonowych organów partyjnych i społecznych są częstymi gośćmi w domach, gdzie mieszkają nauczyciele, są przyjaciółmi, chcącymi doradzić i pomóc. Bo pomagając ludziom, którzy najlepsze z siebie oddają ich dzieciom, — pomagają sobie, wspierają kulturę swej socjalistycznej ojczyzny.

Akcja pisarzy radzieckich, ich odważna krytyka istniejących braków i radosne stwierdzenie, że przyczynili się do uregulowania warunków życia nauczyciela, powinna nam też dać do myślenia. I my powinniśmy zatroszczyć się o to, czy nauczyciele wiejscy — których zastęp powiększa się niesłychanie szybko z gęstniejącą siecią szkół na wsi — mogą spokojnie i wydajnie pracować w szkole i świetlicy, uwolnieni — jeżeli nie od trosk materialnych w ogóle — to przynajmniej od kłopotów, których na pewno mieć nie powinni.

Zofia Bystrzycka

Z TYGODNIA

W KRAJU

ZESPÓŁ FILHARMONII GÓRNICZEJ Z ZABRZA

jest jednym z najlepszych amatorskich zespołów w woj. katowickim. Orkiestra powstała w drugiej połowie 1950 r. z inicjatywy obecnego jej dyrygenta — Emila Gielnika. Składa się ona wyłącznie z pracowników kopalń okręgu Zabrze. M. in. do zespołu należą wybitni przodownicy pracy: Teofil Kustorz z kopalni „Makoszowy" — fagocista oraz rębacze dołowi: Jerzy Kipka z kop. „Zabrze-Wschód" i Jan Jaskółka z kop. „Zabrze-Zachód".

W ciągu 2 lat działalności zespół wystąpił z blisko 110 koncertami na scenach świetlic górniczych, hutniczych, szkół zawodowych, wyższych uczelni, PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych.

ŹRÓDŁA ARCHEOLOGICZNE DO NAJSTARSZYCH DZIEJÓW SŁOWIAŃSZCZYZNY

oraz wczesno-feudalnych organizacji państwowych w Polsce i na Rusi — są badane obecnie w południowej części woj. lubelskiego na obszarze t.zw. Grodów Czerwieńskich. Badania te zostały podjęte w porozumieniu z uczonymi radzieckimi.

Przedmiotem badań jest m. in. grodzisko Czermno (pow. Tomaszów Lub.). Grodzisko jest poświadczonym w źródłach pisanych ówczesnym stołecznym grodem całego obszaru — Czerwieniem. Wykopaliska ujawniły zabytki z okresu od X do XII wieku.

POLSKO - RADZIECKIEJ WSPÓŁPRACY KULTURALNEJ I NAUKOWEJ

rusycystyce polskiej, rozwojowi kultury i nauki narodów Związku Radzieckiego, problemom tradycji przyjaźni polsko - rosyjskiej i polsko - radzieckiej — jest poświęcone nowe czasopismo p.n. „Kwartalnik Instytutu Polsko - Radzieckiego". Pierwszy numer pisma ukaże się nakładem Państw. Wyd. Naukowego w bieżącym miesiącu.

„ŹRÓDŁA DO DZIEJÓW NASZEJ SZTUKI"

— taką nazwę nosi przygotowywana przez Ossolineum seria wydawnictw, mająca na celu udostępnienie badaczom sztuki polskiej źródłowych materiałów ilustrujących narodziny i rozwój realistycznych i narodowych form sztuk plastycznych.

Ostatnio ukazał się I tom tej serii pt. „Warszawskie wystawy sztuk pięknych w latach 1819 — 1845". Tom ten stanowi reedycję katalogów dziewięciu wielkich wystaw malarstwa, rzeźb i grafiki oraz zbiór recenzji i uwag krytycznych na ich temat w ówczesnej prasie.

Następne tomy serii będą poświęcone twórczości Jana Matejki, Wojciecha Gersona, Aleksandra i Maksymiliana Gierymskich, Józefa Chełmońskiego, Henryka Rodakowskiego, Jacka Malczewskiego itp.

„PAMIĄTKA Z CELULOZY" UKAŻE SIĘ WKRÓTCE NA EKRANIE

— Igor Newerly opracowuje już z reż. J. Kawalerowiczem scenariusz oparty na tematyce swojej powieści, odznaczonej Nagrodą Państwową I stopnia.

ZA GRANICĄ

W SERII REPRODUKCJI OBRAZÓW POLSKICH MALARZY

które ukazały się niedawno nakładem wyd. „Iskusstwo" znalazły się m. in. następujące dzieła polskich malarzy XIX wieku: „Kopernik" i „Autoportret" Jana Matejki, „Spotkanie na moście" Józefa Brandta, „Kamieniarze" Fr. Kostrzewskiego, „Piaskarze" Al. Gierymskiego. Z prac malarzy współczesnych reprodukowano portret Prezydenta Bieruta — J. Podoskiego oraz pracę Cz. Kuryatto pt. „Walcownia Zakł. im. Kościuszki".

„MARATON PIANISTÓW"

został niedawno zorganizowany według amerykańskich wzorów w Düsseldorfie. „Najwybitniejszym artystą" miał zostać ten pianista, który najdłużej nie odejdzie od fortepianu. Pewien belgijski pianista „koncertował" przez 93 godziny, rekord pobił jednak muzyk zach.-niemiecki, który wytrzymał 223 godziny...

EMIGRACYJNY „DZIENNIK POLSKI I DZIENNIK ŻOŁNIERZA"

z dumą podaje wiadomość o „osiągnięciach twórczych" polskiego architekta Pławińskiego, pełniącego dziś obowiązki nadwornego architekta szacha perskiego. „Zbudowaliśmy — opowiada p. Pławiński — jedenaście pałaców dla jedenaściorga dzieci szacha. Najnowocześniejszy zbudowaliśmy dla obecnego szacha i jego pierwszej żony, Fauzji".

LUDOWE — W DZISIEJSZEJ POEZJI

Ciąg dalszy ze str. 2-giej

współczesnego poety — uczyniłoby z poematu Hertza — utwór bardziej żywy, potrzebniejszy i poszukiwany.

5. KILKA SŁÓW ZA BARANOWICZEM

Nie wiem, czy czytaliście drukowany niedawno w „Nowej Kulturze" poemat Jana Baranowicza „Spółdzielnia nad jeziorem". Jest to bardzo ambitna próba — poemat o kolektywizacji wsi. Już choćby dlatego powinien być przeczytany, bo taki poemat jest nam potrzebny. Było dotychczas kilka podobnych prób. Między nimi poemat Andrzeja Mandaliana „Dzisiaj". Poemat ten posiada partie dobre, czuje się w nim młodzieńczą żarliwość autora i pełne ideologiczne zaangażowanie. Poza tym wartością poematu Mandaliana jest związanie rewolucji dokonywanej u nas na wsi z walką przebiegającą na terenie międzynarodowym. Z drugiej strony utwór Mandaliana cechuje pewien brak konkretyzacji. Wieś scharakteryzowana jest ogólnikowo; mogłaby to być wieś i polska, i np. węgierska. Poemat Mandaliana wymieniam tylko z powodu pokrewieństwa tematycznego. Nie mieści się on raczej w wybranym tu zagadnieniu.

Poemat Baranowicza o kolektywizacji wsi posiada koloryt lokalny, z lekka nawet przesadnie zaakcentowany w prowincjonalizmach językowych.

Jest to próba lirycznego zapisu historii jednej z konkretnych spółdzielń produkcyjnych na wsi. Konkretność poematu, konkretność bohaterów i ich indywidualizacja budzi zaufanie do poety, a jednocześnie nie umniejsza perspektyw typowości.

Baranowicz rozpoczyna poemat bardzo konkretną sytuacją i od razu wprowadza nas w ogólną sytuację wsi polskiej po reformie. Umarł stary Jakub Drzazga. I oto nadszedł dramatyczny dla rodziny moment — wizyta u rejenta.

„Rejent utkwił w skrytce kasy oczy [lisie.
— Cóż, siadajcie! Przeczytamy, co [w zapisie".

Nieboszczyk Drzazga podzielił gospodarstwo na równe części. Elementy poematu to: rozdrobnienie ziemi, wędrówka części rodziny na Zachód, ich dojrzewanie do idei spółdzielczości, najpierw przede wszystkim — gospodarcze. Walka o spółdzielnię z wrogiem klasowym, wspólnota, praca dla wspólnego dobrobytu i w zamknięciu lirycznym — retrospekcja chłopskiego życia, uwieńczonego ludzkim, dostatnim bytem:

„Nie dobę wagon wiózł mnie do [syna,
życie szłam, krasiwronko!".

Baranowicz w swoim poemacie jest sobą, nie zniża się do „ludu", nie naśladuje ludowych miar po to, aby poemat był „ludowy", ale sięga do współczesnej ludowej tematyki, próbuje w poetyckiej formie przedstawić nowe konflikty i nowych ludzi. W kreśleniu sytuacji potrafił ustrzec się schematu i pijanego kułaka, starał się pokazać ludzi żywych, czasem wątpiących, czasem niepewnych swej drogi, pokazał też ich pracę i zamknął anegdotę poetycką piękną i prostą pieśnią wdowy po zmarłym Drzazdze, starej chłopki, która życie całe szła do takiego domu syna, w jakim przyjął ją w spółdzielni.

Nutą pieśni ludowej Baranowicz posługuje się oszczędnie, tylko w lirycznym zakończeniu. Natomiast w materię swojego poematu wplata wiele realiów wiejskich, wiele szczegółów życiowych, pisze stylem prostym i obrazowym. Obrazy często przypominają właściwą ludowej poezji formę obrazowania. Metafory Baranowicza, to wydaje mi się bardzo ważne, tkwią w kręgu tematycznym poematu i współczesności. Nadaje to poematowi aurę swojskości i wzmacnia jego realizm.

Baranowicz wzbogaca język naszej poezji licznymi prowincjonalizmami i wyrażeniami gwarowymi. Są wśród nich takie, które nie mogą okazać się przydatne, ale niektóre odświeżają język poetycki, dodają mu nowych barw. Czy w inny sposób wzbogacał się i odświeżał język literatury?

Baranowicz — czyniąc to lepiej lub gorzej — jak się komu podoba, opisuje współczesne życie wsi, opisuje ludzi dziś żyjących, walczących i czujących. Baranowicz jest w szerszym wymiarze ludowy niż poeci nawiązujący do tradycji ludowości mechanicznie.

Baranowicz ze skromnym swoim poematem nie jest rewelacją, ale wśród niewyczerpanych dla poezji sposobów mówienia o nowym życiu ludu — jest ciekawym dla nas przykładem zbliżania się do właściwej drogi.

Anna Kamieńska

Z życia Kół Młodych przy oddziałach Związku Literatów Polskich

WROCŁAW

Początkowo wrocławskie Koło Młodych liczyło 50 członków, odbywały się liczne dyskusje. Jednakże wkrótce zapał stygł i na zebraniu zjawiały się 1 — 2 osoby. Po akcji werbunkowej, przeprowadzonej przy pomocy radia i prasy przybyli nowi ludzie. Literaci kolejno dyżurowali na zebraniach kierując dyskusją. Członkowie Koła usłyszeli m. in. cykl wykładów z zakresu historii literatury. Na dyskusje poświęcone utworom członków Koła zaczęli przychodzić krytycy, zebrania robocze odbywały się na przemian z zebraniami szkoleniowo-ideologicznymi. Dużą pomoc okazali Kołu: Stefan Łoś i Anna Kowalska, którzy uczestniczyli w dyskusjach, omawiali z młodymi pisarzami bieżące zagadnienia, literatury, nawiązując do dyskusji toczących się w skali ogólnopolskiej.

Ostatni sezon pracy Koła Młodych był chyba najpłodniejszy i przyniósł Kołu poważne sukcesy. Przyczyniła się do tego w znacznej mierze przeprowadzona wśród członków Koła selekcja, do Koła przyjęto ludzi, reprezentujących już pewien poziom twórczości literackiej. Zaczęto organizować wieczory autorskie oraz spotkania z młodzieżą robotniczą i chłopską. Dwa „czwartki literackie" poświęcone były wyłącznie twórczości młodych.

Obecnie przed młodymi pisarzami stanęło takie pytanie: gdzie drukować? Wprawdzie „Gazeta Robotnicza" redaguje cotygodniowy dodatek „Sprawy i ludzie", w którym (nareszcie!) zamieszcza wiersze członków Koła, ale na prozę nie ma tam miejsca. Gazeta ta jednakże zainicjowała ciekawą dyskusję na temat „Zeszytów Wrocławskich". Gdyby dyskusja ta przyniosła pożądany rezultat w formie otwarcia swoich szpalt dla członków Koła, problem ten, przynajmniej częściowo, byłby rozwiązany.

E. K.

KORESPONDENCJA

O właściwą ocenę twórczości Wyczółkowskiego

W n-rze 34 „Nowej Kultury" pojawiła się recenzja Marii Twarowskiej, w której autorka omówiła bydgoską i krakowską wystawę dzieł Wyczółkowskiego. Ponieważ brałem udział w urządzaniu wystawy krakowskiej (zorganizowanej przez Muzeum Narodowe w Krakowie), uważam, że recenzja Twarowskiej jest subiektywna i powierzchowna. Autorka nie zrozumiała ani sensu wystawy, ani jej struktury i celów, pomimo że o problematyce pokazu informował katalog oraz szereg zwięzłych tekstów, pomieszczonych we wszystkich salach wystawy. Teksty te prowadziły niejako widza, i to w ten sposób, żeby go zapoznać z ewolucją twórczości artysty, odbywającą się w konkretnym czasie i w konkretnej przestrzeni. Wystawa umożliwiała widzowi wędrówkę w czasie historycznym i informowała o środowiskach, jakie urabiały sztukę artysty. Zwracała uwagę na klasowe przesłanki jego malarstwa, na treść ideologiczną, na tematykę i formy twórczości. Wystawa dążyła do pokazania malarstwa Wyczółkowskiego nie w oderwaniu od życia, lecz w łączności z umysłowymi prądami epoki, a podkreślała, jako cechę główną jego twórczości, realistyczny stosunek do rzeczywistości. Nie miejsce tutaj na omówienie istoty tego realizmu, ograniczonego zazwyczaj do czysto wzrokowych obserwacyj, ale warto może podkreślić, iż zasadniczym wrażeniem, z jakim się opuszczało wystawę, było wrażenie pogodnej wizji świata — świata, który godzi z życiem i uczy optymizmu. Powyższe uwagi nie wyczerpują jednak problematyki wystawy, ograniczając się do naszkicowania jej założeń.

Recenzentka, niestety, zamiast ująć sprawę od strony koncepcyjnej i metod realizacji, ograniczyła się do drobiazgów, do szukania dziury na całym, przy czym i ta robota została wykonana w sposób zadziwiająco dowolny. Autorka z właściwą sobie pewnością siebie ogłosiła wyrok: „...Poważnym błędem wystawy krakowskiej jest... położenie silniejszego nacisku na malarstwo Wyczółkowskiego niż na jego grafikę". Przypominam więc, że Muzeum Narodowe zorganizowało wystawę malarstwa Wyczółkowskiego naprzód dlatego, iż malarstwo to zasługuje zawsze na wystawienie, następnie dlatego, że nie chciało dublować wystaw. Przecież autorka sama zwróciła uwagę na bydgoską wystawę grafiki. Organizatorzy wystawy krakowskiej jasno postawili sprawę, pisząc w katalogu: „Grafika Wyczółkowskiego stanowi tylko marginesowe uzupełnienie wystawy, konieczne dla przypomnienia, że artysta ten należał do najwybitniejszych grafików polskich. Jej wartość i znaczenie dla historii grafiki polskiej jest tego rodzaju, że powinna stać się kiedyś przedmiotem osobnej wystawy". Recenzentka dodała jeszcze, że „... niewątpliwie Wyczółkowski-grafik przerasta Wyczółkowskiego-malarza". Otóż nie wydaje się to takie bezsporne i niewątpliwe. Moim zdaniem najlepsze obrazy artysty górują nad jego grafiką. Jego studia portretowe z fazy wczesnej (np. Portret dziewczynki w niebieskiej sukience, siostry?), a liczne Orki, Kopania buraków, Połowy, a także niektóre portrety i krajobrazy z fazy późniejszej, demonstrują szlachetny nieraz realizm w nawiązaniu do najlepszych tradycji malarstwa polskiego i europejskiego.

Zarzuca też autorka brak selekcji wśród zebranych na wystawę materiałów. Tymczasem było wprost przeciwnie, gdyż przeprowadzono bardzo staranną selekcję, w wyniku której poziom wystawy był w zasadzie wyrównany. Nie zorientowała się przy tym recenzentka, że chociaż sprawa wartości artystycznej posiadała dla Muzeum znaczenie istotne, o doborze eksponatów nie rozstrzygały wyłącznie kryteria formalne. Jeśli więc krótki tekst na jednej ze ścian wystawowych objaśniał np. że w latach dziewięćsetnych Wyczółkowski żył w środowisku inteligencji krakowskiej, że w związku z tym stworzył istną galerię portretową, złożoną z podobizn naukowców, pisarzy, artystów itd., to wystawienie okazałego portretu czołowego historyka sztuki, prof. Mariana Sokołowskiego, miało silne uzasadnienie. A to że się kredka pastelowa nieco osypała (głównie w partii krawata), można jakoś przeboleć, tym więcej, że większość obrazów pastelowych w ogóle z czasem się osypuje w związku z nietrwałym i sypkim tworzywem, jakim jest pastel.

Nie mogę się też zgodzić z poglądem autorki, że nie należało wystawiać scen buduarowo-mieszczańskich i kompozycji symbolicznych. Dwa obrazy pierwszego typu, a trzy drugiego nie zaważyły zbytnio na charakterze wystawy, złożonej ze 169 eksponatów, a wystawienie obyczajowych, dobrze przy tym malowanych kompozycyj z życia warszawskiej burżuazji było konieczne celem wyjaśnienia klasowego, mieszczańskiego charakteru sztuki Wyczółkowskiego w latach osiemdziesiątych. Przy sposobności wystawienia trzech malowideł symbolicznych (Druid w dwóch wariantach i Sarkofagi) wyjaśniono, że artysta ulegając na krótko około r. 1895 naporowi modnego kierunku, nawet w tym przypadku nie zerwał z realistycznym warsztatem malarskim.

Wystawę zwiedziło około 70 000 widzów, co dla Krakowa jest cyfrą rekordową. Wśród publiczności widywało się dość często robotników, chłopów, chłopki z dziećmi (przychodziły prosto z targu z koszami na plecach), żołnierzy, młodzież itd. Z niektórymi chłopkami i robotnikami rozmawiałem na temat wystawy. Orientowali się wspaniale w jej problematyce.

Tadeusz Dobrowolski

„Artos" wyjaśnia...

W związku z artykułem Józefa Rurawskiego pt. „O dowcipnych programach — na poważnie", zamieszczonym w nr 34/126 „Nowej Kultury" dyrekcja „Artosu" wyjaśnia co następuje:

1) Państwowa Organizacja Imprez Artystycznych „ARTOS" nie brała najmniejszego udziału w organizacji imprezy, która odbyła się ostatniej niedzieli lipca na kortach CWKS i która ob. Rurawskiemu dała asumpt do napisania artykułu.

2) Impreza ta należy do typu imprez tzw. dzikich, zwalczanych przez P.O.I.A. „ARTOS" jako pozbawionych pełnej kontroli artystycznej i ideologicznej.

3) W imprezie pt. „Uśmiech Warszawy", która rzeczywiście była zorganizowana przez „ARTOS", znajdował się monolog Wyrwicza, słusznie — zdaniem moim — skrytykowany przez autora artykułu. Natomiast zupełnie niesłuszne wydaje mi się wyciąganie ogólnych wniosków na podstawie oceny jednego punktu programu.

Z powyższego w sumie niesłusznego i krzywdzącego naszą instytucję artykułu wynikają — uważam — następujące wnioski:

1) Dyrekcja „Artosu" powinna w jeszcze większym niż dotychczas stopniu zwiększyć wysiłki w kierunku usunięcia z repertuaru ekip objazdowych pozostałości estrady mieszczańskiej i wzmóc kontrolę programową nad poszczególnymi imprezami.

2) Redakcja „Nowej Kultury" mogłaby zainteresować się instytucją, przed którą stoją bardzo poważne zadania w dziedzinie upowszechnienia kultury i sztuki i której pracy nie można skwitować przypadkowymi artykulikami i zdawkowymi, często nieprzemyślanymi radami w rodzaju tych, jakich nam udziela ob. Rurawski, nie mówiąc już o tym, że fakty zawarte w artykułach bywają tu i ówdzie niesprawdzone (wypadek ostatni nie jest odosobniony), co oczywiście wypacza zupełnie sens krytyki prasowej.

3) Instytucje mające wpływ na legalizację imprez artystycznych i prasa winny pomóc P.O.I.A. „ARTOS" w zwalczaniu imprez dzikich, mogących się nieraz w terenie „poszczycić" programami, wobec których „Ten Persja" jest wzorem doskonałej współczesnej satyry.

Szymon Zakrzewski

SPROSTOWANIE

W tekście pt. „W trzynastą rocznicę najazdu" (36 nr „Nowej Kultury" z dn. 7 września 1952 r.) należy poprawić następujący błąd:

W niemieckim czterowierszu zamiast „Rache kommt von Hitlerserben" — ma być: „Rache kommt mit Hitlerserben". Błąd ten poprawiłam była w korekcie, a Redakcja zapewniła mnie, że poprawka będzie wniesiona. Proszę, aby to sprostowanie wydrukowano bez błędu.

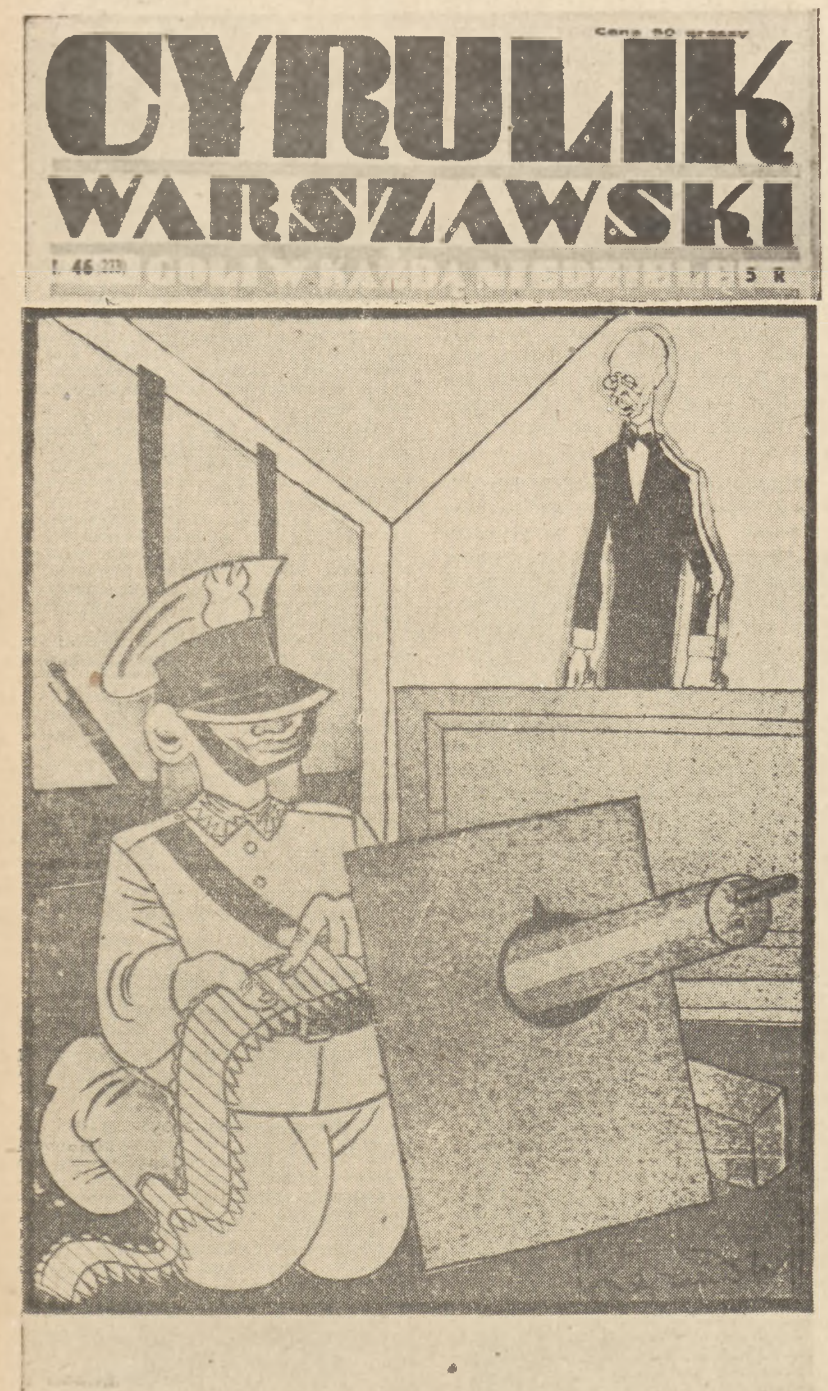
Maria Dąbrowska

Drukując list Marii Dąbrowskiej w sprawie błędów drukarskich w artykule „W trzynastą rocznicę najazdu" prostujemy przy sposobności drugi błąd, który wkradł się do tego artykułu. Mianowicie — zdanie „trudności.., zaciemniające czoła" winno brzmieć „trudności ... zaciemniające czoła".

Za oba błędy przepraszamy zarówno autorkę jak i czytelników.

(Red.)

Jak to było z tymi wyborami?



Projekt rządowy licznika, dla kontroli mów sejmowych

nożyce

Na czym polega wyższość karykatury nad fotografią? Na tym, że dobra karykatura przekazuje, zachowuje nie jeden upozowany gest, ale człowieka niejako w ruchu. Nie w przybranej pozie, ale w tym co dla modela jest najbardziej charakterystyczne. Że odtwarza nie tylko cechy zewnętrzne człowieka, ale i jego charakter. Nie tylko człowieka, ale i chwili politycznej.

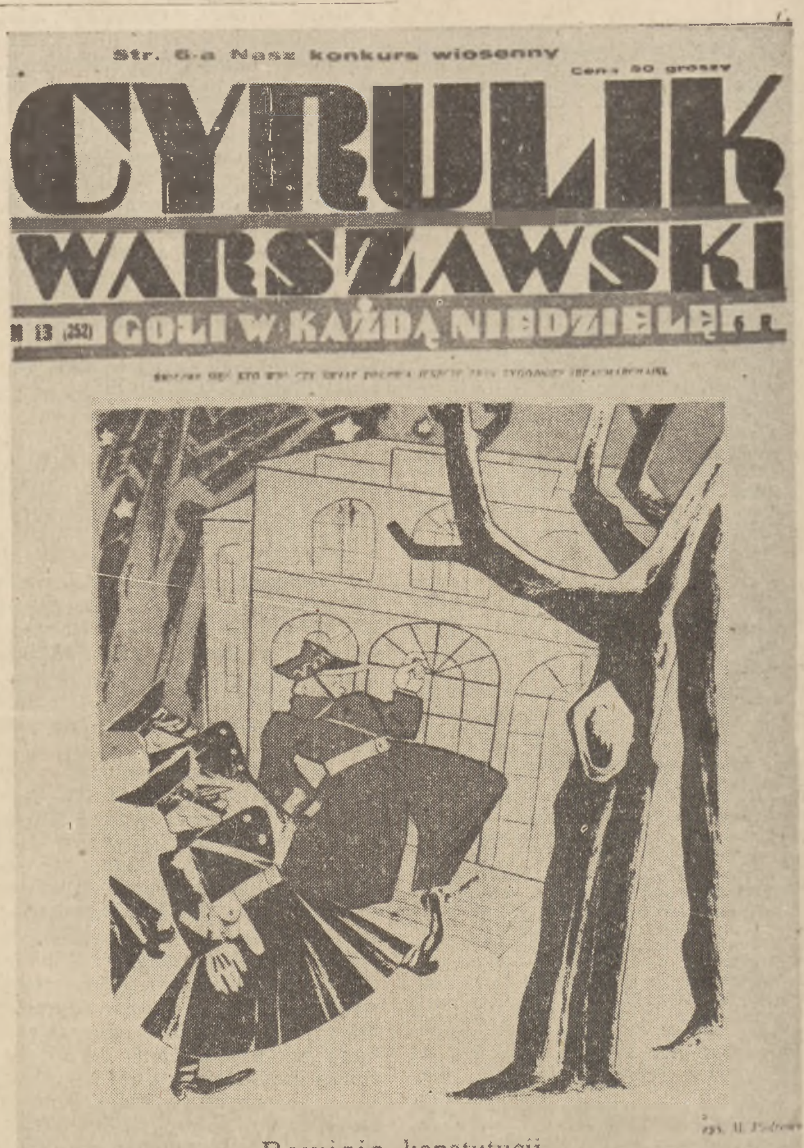
Satyra i karykatura wbrew pozorom, wbrew pozorom środków, jakich używają, wbrew deformacji i groteskowości — są realistyczne. Satyra i karykatura bowiem wywodzić się muszą z bystrej, rzetelnej obserwacji rzeczywistości. Przekazywana przez nie rzeczywistość jest prawdziwa, bywa prawdziwa nieraz wbrew intencjom artysty, wbrew intencjom zamówieniodawcy.

„Cyrulik warszawski", polskie pismo satyryczne lat 1926—1935, służyło sanacji. Miało za zadanie bagatelizowanie istotnych konfliktów owej epoki budowania faszyzmu w Polsce przy pomocy wyolbrzymiania tarć wewnętrznych w obozie burżuazji i jednocześnie przedstawiania ich w formie śmiesznej i zabawnej. Gdy przeglądać dziś roczniki „Cyrulika", wszystko to razem wygląda na zabawę w Polskę, w państwo, we władzę i w demokrację. W rzeczywistości zaś tymi zabawnymi rysuneczkami, wyobrażającymi listę rządową — „jedynkę" jako najlepszą drogę do parlamentu — usiłowano zakryć prawdziwą walkę ludu o otrzymanie przedstawicielstwa w sejmie, walkę, w której sanacja nie żałowała więzień i wyroków, jak i nie cofała się przed unieważnianiem list komunistycznych, przy jednoczesnym chwytaniu się takich środków, jak kolportaż usłużnie przysyłanych listów papieskich, nawołujących do głosowania na listy sanacyjne. (Patrz rysunek: „Czapką i papką")

I oto dziś te rysunki z „Cyrulika", których parę przypominamy, obrazują, bardziej dosadnie niż by się ktoś mógł spodziewać, sławetne wybory z roku 1928, sławetną „demokrację", sławetny sejm, będący dla samej burżuazji przedmiotem pogardy, konieczną do pewnego czasu zasłoną, za którą kryła się jej bezwzględna dyktatura.

Jak się rzekło, wszystkie reprodukowane tu rysunki pochodzą z okresu jednej tylko kampanii wyborczej 1928 roku, z jednego tylko rocznika pisma, bynajmniej o niechęć do sanacyjnej dyktatury niepodejrzanego. „Cyrulik" puszczał krew swoim gospodarzom tylko dla zdrowia i lepszego apetytu. Skoro tak się miały rzeczy, do których burżuazja nasza jawnie się przyznawała, to łatwo sobie wyobrazić (jeśli kto zapomniał), jak wyglądały sprawki sanacji, o których „Cyrulik" musiał milczeć..

(j. s.)



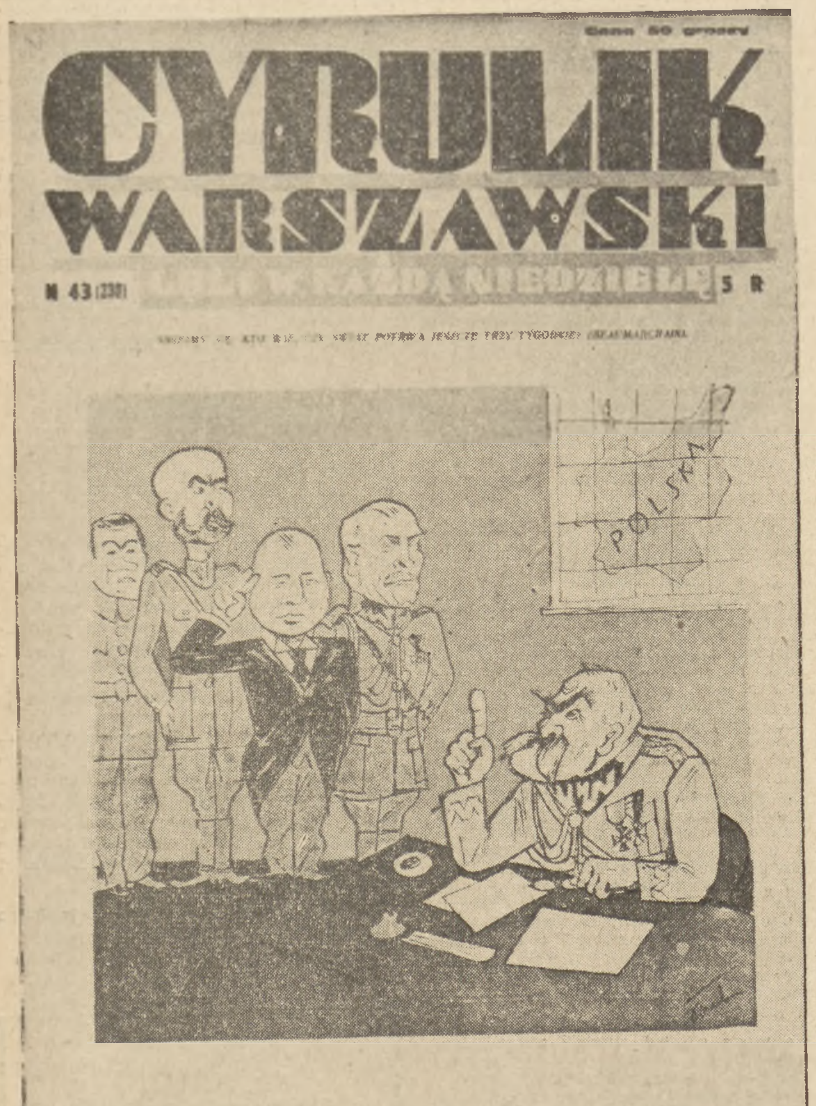
Rewizja konstytucji



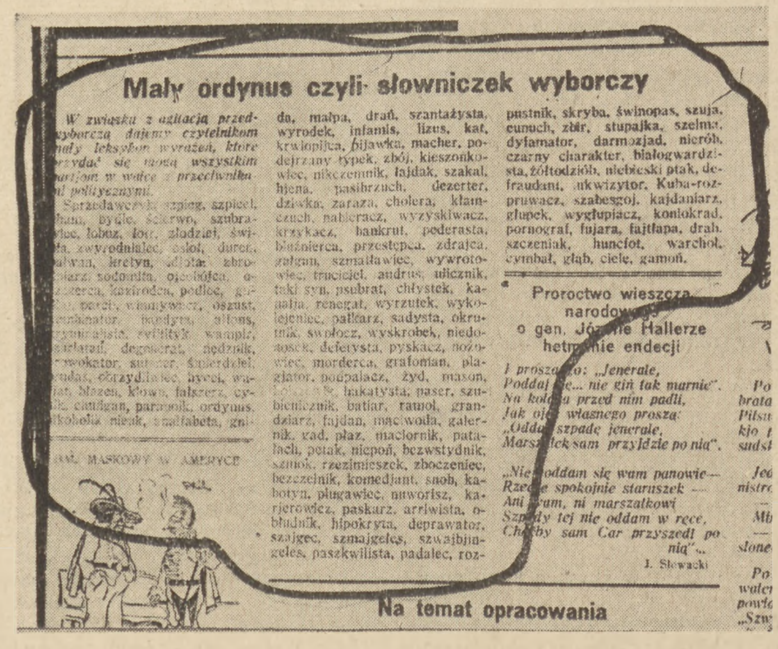
Najpewniejszy sposób dostania się do Sejmu


CZAPKĄ I PAPKĄ


JANA MATEJKI „KONSTYTUCJA 3 MAJA"



Sub-ordynacja wyborcza



Mały ordynus czyli słowniczek wyborczy

W związku z agitacją przedwyborczą dajemy czytelnikom mały leksykon wyrażeń, które przydać się mogą wszystkim [illegible] w walce z przeciwnikiem politycznym.

[illegible] ... da, małpa, drań, szantażysta, wyrodek, infamis, lizus, kat, krwiopijca, pijawka, macher, podejrzany typek, zbój, kieszonkowiec, nikczemnik, łajdak, szakal, hjena, pasibrzuch, dezerter, dziwka, zaraza, cholera, kłamczuch, nabieracz, wyzyskiwacz, krzykacz, bankrut, pederasta, bluźnierca, przestępca, zdrajca, załgan, szmaławiec, wywrotowiec, truciciel, andrus, ulicznik, taki syn, psubrat, chłystek, kanalja, renegat, wyrzutek, wykolejeniec, pałkarz, sadysta, okrutnik, swołocz, wyskrobek, niedonosek, defetysta, pyskacz, nożowiec, morderca, grafoman, plagiator, podpalacz, żyd, mason, [illegible], fakatysta, paser, szubienicznik, batiar, ramol, grandziarz, fajdan, maciwoda, galernik, gad, płaz, maciornik, patałach, petak, niepoń, bezwstydnik, szmok, rzezimieszek, zboczeniec, bezecznik, komedjant, snob, kabotyn, plugawiec, nuworisz, karjerowicz, paskarz, arriwista, obłudnik, hipokryta, deprawator, szajgec, szmajgeles, szwajbingeles, paszkwilista, padalec, rozpustnik, skryba, świnopas, szuja, eunuch, zbir, stupajka, szelma, dyfamator, darmozjad, nierób, czarny charakter, białogwardzista, żółtodziób, niebieski ptak, defraudant, inkwizytor, Kuba-rozpruwacz, szabesgoj, kajdaniarz, głupek, wygłupiacz, koniokrad, pornograf, fujara, fajtłapa, drab, szczeniak, huncfot, warchoł, cymbał, głąb, ciele, gamoń.

Proroctwo wieszcza narodowego o gen. Józefie Hallerze hetmanie endecji

I proszą go: „Jenerale,
Poddaj się... nie giń tak marnie".
Na kolana przed nim padli,
Jak ojca własnego proszą:
„Oddaj szpadę jenerale,
Marszałek sam przyjdzie po nią".

„Nie oddam się wam panowie —
Rzecze spokojnie staruszek —
Ani wam, ni marszałkowi
Szpady tej nie oddam w ręce,
Chyba sam Car przyszedł po nią"...

J. Słowacki

Na temat opracowania


WŁ. ST. REYMONT „CHŁOPI"

(od. Jan Dąbski, Hipolit Śliwiński i Dr. Jerzy Mikiaszewski, kandydujący z list ludowych)

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro tel 4-01-80 wewn. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji: W-wa ul. Wiejska 12 tel. 7-52-50. Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż P. P. K. „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24 — rocznie zł 48 — Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa" W-wa, Poznańska 38, konto PKO I-5589/111, tel. 7-38-05.
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5.
3-B-26129